NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 8 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

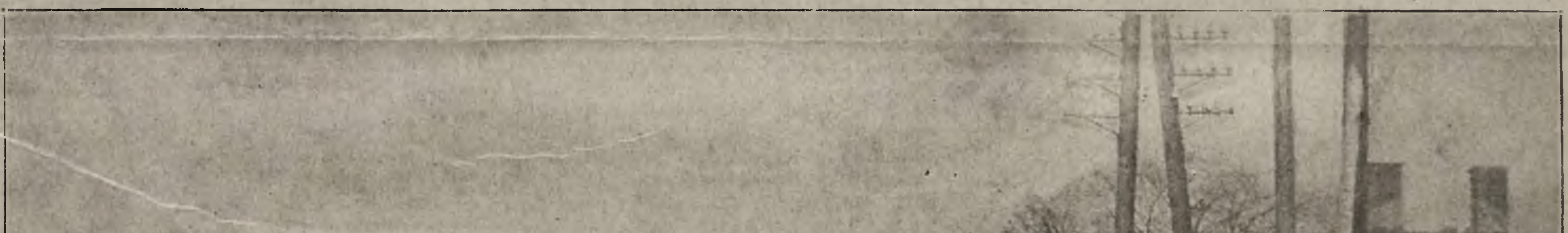
Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. Kraków, 22 kwietnia 1916. Nr. 17.

Dostojne odwiedziny w galicyjskim „Czerwonym Krzyżu".



Arcyksiążę Franciszek Salwator zwiedza urządzenia „Czerwonego Krzyża" na dworon lwowskim.

Dostojne odwiedziny w galic. „Czerwonym Krzyżu.“

Galicyjskie Stowarzyszenie „Czerwonego Krzyża“ gościło w tych dniach Arcyksięcia Franciszka Salwatora, generalnego inspektora ochotniczej służby sanitarnej.

Dostojny Gość przybył do kraju naszego dnia 10. b. m. w towarzystwie ochmistrza, hr. Lederera i majora S.škovsky'ego, aby osobiście przekonać się o dotychczasowych postępach humanitarnej akcyi galicyjskiego Stowarzyszenia „Czerwonego Krzyża“. W podróży tej towarzyszył arcyksięciu także prezydent ogólno austryackiego związku „Czerwonego Krzyża“, hr. Rudolf Traun.

Korzystając z tej niezwykłej sposobności, prezydent krajowego Stowarzyszenia „Czerwonego Kryża“, książę Paweł Sapieha, zwołał na dzień przybycia gości wydział Stowarzyszenia na uroczyste posiedzenie, które odbyło się w dniach 10. i 11. b. m. we Lwowie w lokalach zarządu „Czerwonego Krzyża“ przy ulicy Piekarskiej pod liczbą 1 a.

Arcyksiążę interesował się żywo przebiegiem obrad, a zwłaszcza referatami, które kolejno wygłosili członkowie zarządu: Dr. Józef Starzewski o „Czerwonym Krzyżu“ we Lwowie w czasie inwazyi, prof. dr. Władysław Bylicki o szpitalu „Czerwonego Krzyża“ we Lwowie, p. Bolesław Lewicki o finansach Stowarzyszenia, prof. dr. Panek o zwalczaniu epidemii, prof. dr. Wiczkowski o opiece nad inwalidami, dr. Witold Ziembicki o szpitalnictwie „Czerwonego Krzyża“ w czasie mobilizacyi, inwazyi i po jej ustąpieniu, jako też o agendach biura prezydyalnego „Krajowego Stowarzyszenia Czerwonego Krzyża“ w Krakowie. Pani Szawłowska mówiła o opiece szpitalnej, pani Lonchamps o organizacyi pielęgniarek, wreszcie panna Lonchamps o sekcyi wywiadowczej. Nadto radca dr. Barwiński wspomniał o działalności samarytańskiej pań ruskich.



Dostojne odwiedziny w galic. Czerwonym Krzyżu: Arcyksiążę Franciszek Salwator ogląda pociąg sanitarny Czerwonego Krzyża we Lwowie. (Fot. M Münz, Lwów).



N. K. N. — obrońcy i opiekunowi Lwowa: Medal ku czci Tadeusza Rutowskiego. (Do art. str 10)

Należy podnieść, że działalność galicyjskiego „Czerwonego Krzyża“ przekroczyła znacznie łamy zakreślone statutami. Znalazłszy się bowiem na terenie bojowym, Stowarzyszenie musiało samorzutnie nieść pomoc wszędzie, gdzie tego wymagała potrzeba chwili, tak na przykład podjęto planową akcyę przeciwko chorobom zakaźnym, obecnie zaś zajęto się również powracającymi do kraju inwalidami.

Dzięki tym właśnie szczególniejszym zasługom, nie mniej jak wytrwałości w ofiarnej służbie dla wzniosłej idei, wśród najtrudniejszych warunków nasze krajowe Stowarzyszenie „Czerwonego Krzyża“ wybiło się bezwątpienia na pierwszy plan z pośród szeregu bratnich stowarzyszeń monarchii. Również i finansowa gospodarka Stowarzyszenia, która zdołała zwycięsko przetrwać przesilenie, zyskała najwyższe uznanie.

Po posiedzeniach nastąpiło zwiedzanie instytucyi „Czerwonego Krzyża“ we Lwowie, a więc przedewszystkiem wzorowego Sanatoryum przy ulicy Łyczakowskiej, oraz innych objektów szpitala „Czerwonego Krzyża“, mieszczącego razem tysiąc dwieście łóżek. Zwiedzono także szkoły inwalidów, przedstawiające się już dziś w sposób okazały.

Przy sposobności pobytu dostojnego Gościa we Lwowie wręczono szeregowi zasłużonych osób nadane przez Niego odznaczenia.

Ze Lwowa udał się Arcyksiążę do Przemyśla celem zwizytowania tamtejszych instytucyi wojskowych, podczas gdy hr. Traun wyjechał do Kołomyi dla odwiedzenia pracującej tamże obecnie grupy chirurgicznej prof. dra Rutkowskiego, połączonej z krakowskim oddziałem ochotniczym „Czerwonego Krzyża“. Następnie przybyli goście do Rzeszowa, gdzie oglądali szczegółowo szpital „Czerwonego Krzyża“, pomieszczony w gmachu „Sokoła“ i w Internacie fundacyi Towarnickiego. Szczegółowych objaśnień udzielał na miejscu dyrektor szpitala, dr. Jan Opolski.



N. K. N. — obrońcy i opiekunowi Lwowa: Medal ku czci Tadeusza Rutowskiego (Do art. str 10)

Z Rzeszowa udał się Arcyksiążę do Krakowa. Dnia 15. b. m. rano opuścił swój wagon na dworcu tutejszym, gdzie został powitany przez reprezentantów miejscowych władz wojskowych i cywilnych, poczem zwiedził miejscową szkołę inwalidów. Zamierzona następnie podróż automobilami do Nowego Sącza, Rabki i Nowego Targu, dla zwiedzenia szeregu szpitali „Czerwonego Krzyża“ w tej części kraju, nie przyszła niestety do skutku z powodu niesprzyjającej pogody. Resztę dnia zużyto więc na zwiedzanie Wawelu i salin wielickich.

Pod wieczór Arcyksiążę odwiedził tutejsze biuro prezydyalne „Czerwonego Krzyża“ wraz z sekcyą wywiadowczą, przyczem prezydent, książę Sapieha, przedstawił dostojnemu Gościowi grono zebranych pań i panów. I tu podobnie, jak w całym kraju, okazał Arcyksiążę żywe zainteresowanie się bogatymi wynikami pracy.

W niedzielę palmową po mszy, wysłuchanej w kościele N. P. Maryi, opuścił Arcyksiążę Kraków i kraj, udając się z powrotem do Wiednia.

Dziękując prezydentowi Stowarzyszenia za gościnę i za gruntowne przedstawienie sobie tak owocnej działalności krajowego Stowarzyszenia „Czerwonego Krzyża“, przyrzekł w niedalekiej przyszłości przybyć powtórnie, specyalnie w celu zwiedzenia reszty instytucyi „Czerwonego Krzyża“ w naszym kraju i na ziemiach okupowanych Królestwa Polskiego.

Jest nadzieja, że ta wizyta Arcyksięcia nie pozostanie bez korzystnego wpływu na rzecz naszych



Dostojne odwiedziny w galic. Czerwonym Krzyżu: Posiedzenie Wydziału Czerwonego Krzyża we Lwowie z udziałem Arcyksięcia Franciszka Salwatora. (Fot. M. Münz, Lwów).

interesów, miała bowiem charakter niezwykle ciepły i życzliwy — i była z jednej strony dowodem uznania dla działalności krajowej instytucyi, z drugiej zaś zadatkiem jak najdalej idącego poparcia jej w przyszłości.

Komendant Legionów w Krakowie.

W połowie bieżącego miesiąca bawił w Krakowie w ciągu dwóch dni naczelny komendant Legionów polskich gen. Puchalski. W pierwszym dniu swego pobytu wódz Legionów zwiedził najpierw legionowe warsztaty krawieckie przy ulicy Karmelickiej, pozostające pod zarządem Departamentu Wojskowego N. K. N.

W dalszym ciągu udał się komendant Puchalski do szpitala twierdzy Nr. 4, mieszczącego się w gmachu seminaryum nanczycielskiego, przy ul. Straszewskiego. W szpitalu tym mieści się około 200 chorych lub rannych legionistów. Przybywającego komendanta oczekiwali lekarze sztabowi dr. Pakosz i dr Kostyal, nadto lekarz pułkowy Legionów Polskich dr. Majewski. Komendant zwiedził cały szpital z chorymi legionistami, z którymi czas dłuższy rozmawiał i wypytywał się o ich osobiste stosunki.

Około godziny 11 przed południem gen. Puchalski pojechał na ulicę Gołębią do budynku, w którym się mieszczą wszystkie biura N. K. N. i Ligi kobiet.

W biurze prezesa N. K. N. dra. Wł. L. Jaworskiego zebrali się wszyscy członkowie oraz pracownicy i kierownicy oddziałów poszczególnych N. K. N. Wchodzącego komendanta powitał krótko prezes Jaworski, życząc mu, by praca jego przyniosła najlepsze owoce sprawie narodowej. W odpowiedzi zaznaczył komendant Puchalski, że honor jego żołnierski związany jest z Legionami Polskimi, którym pragnie jak najsumienniej służyć. Komendant Puchalski zapoznał się następnie ze wszystkimi zebranymi współpracownikami, poczem udał się na zwiedzanie biur i urządzeń wszystkich oddziałów N. K. N., a więc oddziału prasowego, czytelni, biblioteki, oddziału wydawniczego N. K. N. i t. d. Komendant Puchalski odwiedził także biuro Ligi kobiet; w głównej sali oczekiwało go liczne bardzo grono pań, członkiń Ligi kobiet w Krakowie. Imieniem zebranych powitała przybywającego komendanta przewodnicząca, p. prof. Zakrzewska i przypięła mu piękną odznakę Legionów Polskich. Dziękując za powitanie, komendant Puchalski z ogromnem uznaniem wyraził się o dotychczasowej działalności pań krakowskich na polu opieki nad superarbitrowanymi legionistami oraz wdowami i sierotami po legionistach, nadto przyrzekł wszelką pomoc w dalszej tej pożytecznej akcyi, której doniosłość uznają wszyscy.

Zwiedziwszy szczegółowo wszystkie biura i urządzenia N. K. N. pożegnał się z towarzyszącymi mu pracownikami i udał się na śniadanie do posła krakowskiego Edmunda Zieleniewskiego.



Pogrzeb namiestnika Colarda: Generał Colard na łożu śmierci. (Fot Drozdowski-Tyras)

Wieczorem w hotelu Saskim odbył się na cześć przybyłego komendanta obiad.

Podczas obiadu prezes Dr. Jaworski wzniósł toast, na który generał Puchalski odpowiedział w te słowa: „Dumny byłem, gdy Najjaśniejszy Pan powołał mnie na czoło Legionów, które uważam za najdoskonalszą emanacyę narodu polskiego. I dlatego honor Legionów uważam za swój własny honor. Legiony bowiem są tem, na co cały naród zwraca swe oczy, tembardziej zatem dziękuję za zaufanie dla mej osoby, przyrzekając przestrzegać wytycznej, wskazanej przez polskie Legiony. Osobiście nie goniłem nigdy za popularnością, ani też nie starałem się jej pozyskać ustępstwami, lecz tylko szczerością i otwartością postępowania i ojcowską opieką nad żołnierzami. Tej szczerości i otwartości wymagałem w pierwszym rzędzie od podwładnych, gdyż tylko na tej drodze da się osiągnąć zwycięstwo nie tylko Legionów, ale także idei, przez nie reprezentowanej. Dziś oświadczyć mogę tylko tyle, iż z wysokiego miejsca dowiedziałem się o najzupełniejszem zadowoleniu z Legionów, a mojem staraniem będzie, ażeby to zadowolenie — o ile to jest możliwe — zostało jeszcze wzmożone i, by ono ogarnęło i Legiony same i całe społeczeństwo".

Pogrzeb namiestnika Colarda.

Dnia 10. bieżącego miesiąca odbył się w Białej pogrzeb gen. Colarda. Trumnę ze zwłokami wyniesiono z budynku, w którym mieści się Namiestnictwo. Za trumną postępowali: rodzina zmarłego, zastępca cesarza minister obrony krajowej bar. Georgi, w zastępstwie rządu min. Morawski, szef sztabu gen. baron Conrad Hötzendorf, komendant twierdzy krakowskiej gen. zbrojmistrz Kuk, marszałek krajowy Stanisław Niezabitowski i liczne grono dygnitarzy wojskowych i cywilnych.

Kondukt żałobny udał się do kościoła parafialnego, gdzie przy zwłokach odprawiono modły, poczem trumnę wynieśli z kościoła żołnierze. Orszak żałobny, prowadzony przez księcia biskupa krakowskiego Sapiehę, udał się ulicami miasta na dworzec kolejowy, gdzie trumnę złożono w obitym wewnątrz choiną wozie, dla przewiezienia jej do Wiener Neustadt.

Uroczysty pogrzeb we Wiener Neustadt odbył się 12. bieżącego miesiąca z dworca kolejowego na cmentarz akademii wojskowej.

Odbudowa Galicyi.

Dużo się dziś mówi i pisze o odbudowie Galicyi. I nic dziwnego. Ogrom klęsk, jakie poniósł nasz kraj w czasie wojny, po dziesięciu miesiącach, jakie upłynęły od ostatnich walk przy wypędzaniu Rosyan, jeszcze całem brzemieniem przygniata ludność. Nie brak wsi, gdzie mieszkańcy kryją się dotychczas w wykopanych jamach lub skleconych na prędce szałasach. Także i liczne miasta oczekują energicznej akcyi ratunkowej. Jednem z nich są Gorlice. Zamieszczone w dzisiejszym numerze fotografie przedstawiają to miasto w obecnym stanie — po uprzątnięciu gruzów.



Komendant Legionów w Krakowie: Generał Puchalski.



Pogrzeb namiestnika Colarda: Przed gmachem namiestnictwa. (Fot Drozdowski-Tyras, Biała).



Pogrzeb namiestnika Colarda: Przed kościołem (X) min. Georgi.





Pogrzeb namiestnika Colarda: Kondukt pogrzebowy w Białej.



Odbudowa Galicyi: Obecny widok na „Dworzysko" w Gorlicach.

ADAM WIARYGA-MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

3

ROZDZIAŁ II.

Pan Potyrowski obudził się w doskonałym humorze. Leniwie uniósł głowę z miękkich poduszek, wyciągnął rękę ku oknu i odsunął storę, zasłaniającą je.

Dzień był pogodny i jasna fala słonecznego światła zalała duży pokój, elegancko umeblowany z tą banalną elegancyą, właściwą mieszkaniom hotelowym i „pokojom umeblowanym“.

Niekiedy jednak takie nawet szablonowo urządzone mieszkania uzyskują pewną charakterystykę, jeżeli ktoś, zamieszkując je dłużej, wyciska na nich indywidualne swe piętno przez wprowadzenie miłych sobie lub potrzebnych drobiazgów.

Martwe przedmioty mają swoją mowę. Swiadczą nieraz aż nadto wyraźnie o upodobaniach, myślach, zajęciach właściciela.

Tutaj nie było tego ani śladu. Ktoś, kto chciałby wnioskować o sposobie życia i myślenia pana Potyrowskiego z urządzenia jego pokoju, byłby w wielkim kłopocie. Do zawieszonych na ścianach banalnych pejzażów i konwencyonalnych, miłosno sielankowych scen nie przybył ani jeden obrazek, ani jedna rycina, któreby mogły powiedzieć coś o upodobaniach czy aspiracyach chwilowego lokatora pokoju.

Na biurku znajdowały się starannie okurzone i porządnie ułożone przyrządy do pisania — zda się nietknięte, jak gdyby nikt tutaj nigdy nie pisał. Nie widać było rozrzuconych żadnych listów, żadnych książek, dzienników. Nie było ani jednej fotografii, szklane flakony i ozdobne wazony stały puste — nie więdły w nich kwiaty. Wszystko wiało pustką, chłodem, jak gdyby nikt tutaj nie mieszkał, albo też starannie zacierał ślady swego pobytu.

Tylko na szafce nocnej obok łóżka leżała srebrna papierośnica, po którą Potyrowski sięgnął. Wyjął papierosa, zapalił, ułożył się znowu wygodnie i rozkoszując się wonnym dymem, uśmiechał się do swoich myśli.

Był w różowem usposobieniu. Sądził, że nareszcie owo „szczęście“, za którem gonił, prowadząc dotychczas rozmaite ciemne i ryzykowne „interesy“, zabłysło mu na drodze daleko krótszej, łatwiejszej, wygodniejszej.

Groza i konieczność wojny, wyrywająca ludzi ze stałych siedzib i normalnych warunków, była dla Potyrowskiego okolicznością wielce pomyślną. Ułatwiała zawarcie znajomości z osobami, do których dostęp byłby w innych warunkach truduy, lub nawet niemożliwy.

Dzięki temu mógł Potyrowski z łatwością zaznajomić się z panią Wolską i, jak pochlebiał sobie, nie bez słuszności zresztą, wkraść się w jej łaski.

W myśli widział się już mężem pani Krystyny, panem Zalesinek, człowiekiem bogatym, poważanym, na stanowisku.

— Sposobność jedyna — szepnął sam do siebie — nie powtórzy się prawdopodobnie nigdy. Wypuścić jej z rąk nie mogę i nie wypuszczę!

Potyrowski miał więc nadzieje śmiałe i daleko sięgające. Zanimby jednak one urzeczywistnić się mogły, znajomość z panią Krystyną przynosiła mu inne, drobniejsze wprawdzie, lecz również nie do pogardzenia korzyści.

Przyjemnie było siedzieć w teatrze lub na koncercie w loży, zapłaconej przez panią Wolską, wygodnie zjadać doskonałe obiady i kolacye, na które zapraszano go coraz częściej.

Wczoraj także zaprosiła pani Krystyna jego i Koncewicza na obiad niedzielny.

Potyrowski był smakoszem i aż mlasnął językiem na wspomnienie smacznej, wytwornej kuchni, jaką prowadziła bogata wdowa.

Najważniejsze jednak było to, że pani Krystyna miała dobre serce i tak chętnie składała częste i hojne datki na protegowanych przez Potyrowskiego „biednych“. Niejeden szeleszczący banknot przeszedł już z torebki pani Wolskiej do portfelu Potyrowskiego.

Potyrowski uśmiechnął się, przypominając sobie, jak swoją opowieścią wzruszył serce pani Krystyny i pobudził jej szczodrość.

Ta znajomość z panią Krystyną przyszła mu tak bardzo w porę!

Zaczynał bowiem w Pradze tracić grunt pod nogami.

Z początku szło wszystko jak z płatka. Był przecież sprytny, elgancki, wymowny — umiał trafiać do ludzi bogatych i hojnych, i pieniądze płynęły obfitym strumieniem do rąk Potyrowskiego, który miał rozdzielać je pomiędzy potrzebujących.

Ale teraz zaczynało się coś psuć. Do Pragi zjechało zbyt wielu ludzi inteligentnych, wybitnych, działaczów społecznych — tworzyły się stowarzyszenia samopomocy, komitety i na „filantropijną“ działalność Potyrowskiego zaczynano patrzeć zukosa.

A teraz ta zażyłość z bogatą właścielką ziemską, z kobietą z najlepszego towarzystwa, podnosiła znowu jego „prestige“ towarzyski, odsuwała rozmaite podejrzenia, no i wyrównywała poniekąd niedobory budżetowe.

Nagle Potyrowski zmarszczył brwi. Przed oczyma jego wyobraźni przesunęła się postać Anielki Żurakowskiej.

Tak! Stanowczo ta piękna, poważna dziewczyna z mądremi, głębokiemi oczyma, była ciemną plamą na słońcu marzeń Potyrowskiego.

Czuł on, że panna go nie lubi, nie ufa mu i instynktownie obawiał się jej. Z jakimś lękiem uprzytomnił sobie dziwne zachowanie się Anielki w kawiarni „Pod Białym Łabędziem“.

— Psiakrew! — zaklął — ta mała, niby na pozór taka skromniutka, cichutka — jest zanadto przebiegła! Co prawda, to szelma djabelnie ładna... Wolałbym ją, niż tę podstarzałą, upudrowaną, wyszmurowaną ciocię... Ale to darmo, u tej nic nie wskóram... Z tą dziewczyną trzeba będzie jednak coś zrobić... Albo ją jakoś przejednać, ugłaskać — przecież ona, u dyabła! musi mieć także jakąś słabą stronę... Albo ją usunąć i uczynić nieszkodliwą... Hm! możeby namówić ciotkę, żeby ją wydała jak najprędzej za mąż... Tylko naturalnie za jakiegoś durnia, któryby się zakochał i nie żądał wielkiego posagu, bo w przeciwnym razie ta głupia baba gotowa oddać siostrzenicy choćby pół swojego majątku! To do niej podobne! No! Ujmę ja to wszystko później silnie w ręce... Tak! tak! Ta Anielka gotowa mi bruździć, buntować ciotkę... A ten młokos, Koncewicz, niepotrzebny mi tam zupełnie, ten chłystek poluje także na bogaty ożenek... No, całe szczęście, że taki półgłówek ma mało widoków, aby się podobał tej przemądrej pannicy...

Tok myśli przerwało Potyrowskiemu nieśmiałe pukanie do drzwi.

— Proszę!

Do pokoju weszła mizerna, pożółkła, ubogo ubrana kobiecina, z głęboko zapadłemi oczyma, zaczerwienionemi jakby od łez, czy niewyspania.

W ręku niosła starannie oczyszczone ubranie Potyrowskiego i jego lśniące, eleganckie buty...

— A, to wy Antoniowa? — rzekł ostrym głosem Potyrowski — Dlaczego tak późno?! Już po dziesiątej!...

— Myślałam, że jaśnie pan hrabia śpi jeszcze i bałam się zbudzić...

Ułożyła troskliwie ubranie na stołku i postawiła buty koło łóżka. Potyrowski spojrzał i zmarszczył groźnie brwi.

— Czy wy się, Antoniowa, nigdy nie nauczycie porządnie czyścić butów?! To rozpacz doprawdy, że człowiek nie może być obsłużony, jak należy!... Woda do mycia jest?!

— Jest, proszę jaśnie pana hrabiego! — szepnęła wylękniona kobieta.

— No! To dobrze, a teraz zabierajcie się stąd i za kwadrans przyniesicie śniadanie! Tylko kawa żeby była gorąca i śmietanka dosyć gęsta...

Antoniowa z wbitemi w ziemię oczyma miętosiła palcami róg fartucha i nie odchodziła.

— Czegóż stoicie, jak słup soli?! Nie słyszeliście co powiedziałem?!

— Proszę jaśnie pana hrabiego, jabym chciała... — zaczęła nieśmiałym, cichym głosem kobieta.

— No, o co znowu chodzi, do licha?!

— Jabym chciała powiedzieć, że gospodarz groził, że nas wyrzuci z tej suteryny, którą jaśnie pan hrabia dla nas wynajął, bo... czynsz niezapłacony...

— Jak to? Ten gbur śmiał wam grozić wyrzuceniem, kiedy wie, że ja się wami opiekuję?!

— On ta śmiał, proszę jaśnie pana hrabiego... Co się tam taki Czech na delikatności rozumie... Zresztą po prawdzie, jak czynsz niezapłacony...

— Antoniowa, nie rezonować!

Głos Potyrowskiego brzmiał ostro, groźnie, rozkazująco.

Sięgnął ręką po portfel, wyjął z niego jakiś banknot, schował go z powrotem, następnie wziął portmonetkę i wyszukawszy w niej kilka srebrnych koron, podał je Antoniowej:

— No, macie! Dajcie to gospodarzowi, resztę dopłaci się później. Powiedzcie, że ja zapłacę, rozumiecie, ja!

— Niech Bóg zapłaci jaśnie panu hrabiemu — szepnęła kobieta, całując pokornie rękę Potyrowskiego.

Nie odchodziła jednak jeszcze, widocznie leżało jej coś jeszcze na sercu, tylko nie miała odwagi tego wypowiedzieć.

— No, czegóż stoicie jeszcze?

— Proszę jaśnie pana hrabiego, bo to mój Staszek ma taką straszną gorączkę... Cały rozpalony... I mnie kaszel w nocy dusi... Więc jabym się chciała zapytać pana hrabiego, czy ja mogę iść do tych dobrych pań od św. Wincentego?... Te panie podobno przysyłają darmo doktora i płacą za lekarstwa... Możebym ja też dostała trochę ziemniaków i poprosiła o podzelowanie butów... Moje biedne dzieciska prawie że boso już chodzą...

Potyrowski porwał się z poduszek, o które wygodnie opierał głowę i siadł na łóżku. Żyły nabrzmiały mu na czole, oczy roziskrzyły się gniewem.

— A to co znowu?! — krzyknął — Co za nowe fanaberye?! To taka wdzięczność za to, że przez tak długi czas opiekuję się wami, staram się o was, płacę mieszkanie! Dawno zginęlibyście bezemnie! A teraz już wam moja opieka nie wystarcza?! Ani mi się ważcie chodzić do kogokolwiek! Jeżeli dziecko chore i ma gorączkę, to robić mu okłady i trzymać ciepło!

W oczach Antoniowej pojawiły się łzy i grubemi kroplami poczęły spływać po wynędzniałych policzkach.

— I jakże ja — mówiła drżącym głosem — proszę jaśnie pana hrabiego mogę trzymać go ciepło, kiedy w tej suterynie po ścianach się leje... Wilgoć, zimno, niepalone, bo za co ja kupię węgli?... Przecież ta pensyjka, co ją biorę po mężu, to na wyżywienie ledwie starczy...

Potyrowski namyślał się chwilę.

— No! jakoś to będzie! Już ja o tem pomyślę... To się zrobi... Tylko zapamiętajcie sobie jedno! Jeżeli nie będziecie mi posłuszna i zrobicie jakiś krok bez mojej woli i wiedzy, to ja przestaję się wami opiekować i pojedziecie do baraków!

Antoniowa spojrzała przerażona.

— Jaśnie panie hrabio! Złocisty panie hrabio, ja będę posłuszna, tylko niech nas pan hrabia nie odsyła do baraków!

— No dobrze, dobrze, przestańcie lamentować, nie odeślę was jeszcze, ale zapamiętajcie sobie to, co wam powiedziałem! A teraz nie zawracajcie mi głowy, a za kwadrans żeby mi było śniadanie na stole!

Kiedy Antoniowa wyszła, Potyrowski odetchnął i mruknął ze złością:

— Doprawdy, życie się może sprzykrzyć! Co dzień nowy kłopot! Pań ze „św. Wincentego“ jej się zachciało... Przeklęte te stowarzyszenia! Chleb poprostu człowiekowi odbierają!

Wkrótce ubrany już, uczesany, wyświeżony siedział przy stole, a Antoniowa postawiła przed nim jasno brunatną kawę z kożuszkiem, apetyczne bułeczki z makiem i świeże masło.

— Proszę jaśnie pana hrabiego przyszła jakaś dziewczyna i chce się widzieć z panem hrabią...

— Co to za jedna? — zapytał Potyrowski, ze smakiem zajadając śniadanie.

— Nie wiem, proszę jaśnie pana... Ale ona już tu była kilka razy.

— No to powiedzcie jej, Antoniowa, niech wejdzie.

Za chwilę we drzwiach ukazała się dziewczyna młoda jeszcze, ale o twarzy zwiędłej już i przeżytej. Rysy miała grube i pospolite, cerę piegowatą i nieprzyjemne spojrzenie małych, szarych oczu, ale w ruchach, uczesaniu, ubraniu znać było wyraźną chęć podobania się i pretensyę do elegancyi.

Głowę miała owiniętą jakimś podartym szalem, ale z pod niego ukazywała się pretensyonalnie ufryzowana grzywka, spódnica była wytarta i poplamiona, krój jednak miała przesadnie modny, wązki — buciki były wykrzywione, lecz na wysokich obcasach.

— Dzień dobry panu!

— Aha! to ty, Wikciu? Czego chcesz?

— Proszę pana, ja przyszłam do pana, żeby mi pan dał coś pieniędzy, bo ja się zupełnie wydarłam — wskazała na swój w kilku miejscach podarty żakiet i poplamioną spódnicę — muszę sobie sprawić ubranie, nie mogę się przecież tak „kompromitować“!

Potyrowski żywo podniósł głowę.

— Moja kochana, cóż ty sobie myślisz, że ja ci pieniądze z rękawa wytrząsnę? Nie mam teraz. Dosyć już dostałaś odemnie!

Ale dziewczyna nie myślała ustępować, przeciwnie, hardo spojrzała na Potyrowskiego i podniesionym głosem zaczęła:

— O! o! Niby to pan z własnej kieszeni dawał, niby to ja nie wiem, że pan od bogatych państwa pieniądze dostaje, żeby je biednym rozdawać! To pański psi obowiązek dać, kiedy kto potrzebuje!

Potyrowski zmieszał się. Niedawno tak despotyczny, groźny, rozkazujący wobec pokornej, znękanej Antoniowej — teraz stracił pewność siebie. Usiłował jednakże nie okazać tego i, siląc się na spokój, rzekł:

— Proszę cię, mów ciszej i grzeczniej! Co to znaczy? Na co ty sobie pozwalasz?! Jak przemawiasz do mnie? Czy nie wiesz, jak mnie masz tytułować?!

— Owa! Pan taki hrabia, jak i ja hrabina! Niech pan komu innemu gitarę kręci, bo ja nie frajerka! No, daje pan te pieniądze, czy nie?

Potyrowski nic już nie odpowiedział, chciał się jak najprędzej pozbyć hardej dziewczyny. Wyjął z kieszeni portmonetkę, wziął trzy korony i podał je Wikci.

Dziewczyna spojrzała na ofiarowaną jej kwotę i pogardliwie skrzywiła usta.

— Trzy korony?! Kpi pan ze mnie, czy co? Co ja za te trzy korony kupię?!

— Moja droga — odezwał się Potyrowski, odzyskując energię i stanowczość — rób sobie, co chcesz, więcej ci nie dam, bo nie mam! I radzę ci uspokoić się, bo się to może źle skończyć dla ciebie!

— Co mi tam też pan grozi — ja się dużo boję! Ja sobie poradzę! A pan, jak niema pieniędzy, to mógłby mi się wystarać o jaką dobrą służbę! Przecież ma pan znajomości w „wyższych domach". Jabym z ochotą wzięła taką służbę, gdziebym dostała dobrą pensyę i mogła sobie porządnie podjeść i żebym się nie potrzebowała narobić!

Potyrowski spojrzał bystro na Wikcię, nowa myśl błysnęła mu w głowie. Zrozumiał, że ta dziewczyna odtrącona mogła stać się niebezpiecznym wrogiem... Trzeba ją ułagodzić, zjednać dla siebie, przekupić!

— Ona jest sprytna — pomyślał — jeżeli umieszczę ją u Wolskiej, to może mi być bardzo przydatną...

To też przyoblekł twarz w powagę i rzekł sentencyonalnie:

— Więc chcesz iść do służby? To dobrze, to bardzo dobrze! Praca to szczytna rzecz! Módl się i pracuj: pamiętaj, moja kochana. Ja ci dopomogę w wyszukaniu służby, ale umiesz ty gotować?

— Owa! Wielkie rzeczy gotować! Niby to ja raz służyłam do wszystkiego!

— Hm!... Dobrze... Słuchaj, dostaniesz bardzo dobrą służbę u jednej bogatej pani, ale będziesz musiała dobrze nadstawiać uszu, co tam w domu będą mówili. Rozumiesz?

Małe oczka dziewczyny błysnęły przebiegle:

— To się wi, że rozumiem, niech się pan nie boi, bo ja nie z jednego pieca chleb jadłam... A kiedy dostanę tę służbę?

— Tego sam nie wiem jeszcze dokładnie... Ale myślę, że za kilka dni... Zawiadomię cię kartką...

— Ale niech pan pamięta o tem, bo ja się tak nie dam „wykiwać" byle czem...

— No, kiedy ja ci mówię, to rzecz skończona... A teraz idź, bo nie mam czasu i muszę wyjść z domu...

— To do widzenia panu.

Wikcia, zadowolona z wyniku rozmowy, zabierała się do wyjścia, kiedy nagle we drzwiach zetknęła się z mężczyzną, który śmiało bez pukania wchodził do pokoju.

Gładko wygolona twarz przybysza napiętnowana była wyrazem jakiejś dziwnej, cynicznej bezczelności.

Wikcia przystanęła, klasnęła w ręce, a rumieniec zabarwił jej żółtawą, przywiędłą cerę.

— Kogo ja widzę?! Pan Ignacy?! To i pan tutaj?! Smierci bym się prędzej spodziewała! Jezu mój, jak ja się cieszę!

Tak radośnie przywitany pan Ignacy nie okazał bynajmniej specyalnej uciechy z tego spotkania. Machnął lekceważąco ręką i rzekł:

— Jakże się miewa panna Wikcia? Dobrze? No, to chwała Bogu! Trzymajże się panna i dalej ciepło.

Ale oczy dziewczyny rozbłysły niezdrowem jakiemś światłem, wargi jej zadrżały febrycznie — zagrodziła przybyłemu drogę, tak, że nie mógł postąpić kroku dalej i urywanym głosem zaczęła:

— Panie Ignac, kiedy pan jest tutaj, to my się musimy jeszcze zobaczyć! To tak nie może być, żebyś pan całkiem o mnie zapomniał... Panie Ignac...

— Dobrze, dobrze — odparł flegmatycznie pan Ignac — czego się panna Wikcia denerwuje?... Możemy się zobaczyć... Ja tam nie od tego... Przyjdź panna dzisiaj wieczorem do piwiarni „U Bileho konička" na Karlinie... Wiesz panna, gdzie to?...

— Wiem... a pan tam będzie?

— Jak mówię, że będę, to będę, a teraz zabieraj się panno stąd, bo my z panem hrabią — tu złożył głęboki ukłon w stronę Potyrowskiego — mamy do pogadania... No, ein zwei drei, zrób panna tak, żeby panny nie było...

Wikcia zniknęła za drzwiami, rzuciwszy jeszcze na pożegnanie rozkochane spojrzenie panu Ignacemu...

Tymczasem nowy gość przystanął na środku pokoju i jął się oglądać wokół bezceremonalnie, kręcąc w podziwie głową:

— Fiu! Fiu! Jak tu elegancko... Jaka kanapa wyścielana, co za lustro... Mieszkasz sobie, jak doprawdy jaki hrabia... Musi ci się doskonale powodzić... Niema to, jak dobre maniery i znajomości w arystokracyi... Opływa sobie nasz Jasiek Potyra — przepraszam pan Alfred Jerzy Jan Potyra-Potyrowski — we wszystko, jak pączek w maśle, a ty człowieku tłucz biedę...

Wygłosiwszy te słowa, pan Ignac wyciągnął poufale rękę do Potyrowskiego i rzekł:

— Servus, stary!

— Siadaj! — odpowiedział lakonicznie Potyrowski, podsuwając gościowi swoją srebrną papierośnicę.

Nie zdawał się być ani zdziwiony ani obrażony poufałem zachowaniem się tego przybysza, który bynajmniej nie robił wytwornego wrażenia.

Ignac wziął papierosa, zapalił, zaciągnął się z rozkoszą wonnym dymem.

— Psia kość sobacza, co za papierosy — egipskie, czy co? Nie! Wiesz, Jasiek, ty masz szczęście! Gdybym ja miał jakie szkoty, umiał się w salonie obracać i po francusku parlować, tobym także taką „sztukę" potrafił... Udawałbym grafa nie gorzej od ciebie... Ale tak, to trzeba wciąż podawać pieczeń cielęcą w jakiej podłej kuchni, gdzie nawet na piwo porządnie nie dadzą... A teraz na tej ewakuacyi to jeszcze gorzej... Powiadam ci, dyablo krucho koło mnie...

— Aha! Ty naturalnie chcesz coś odemnie wyciągnąć?...

— No, jakże nie poratowałbyś to starego kamrata?! Czyśmy to jeden interes razem ubili?... He, he! Wielu ja ci klientów przyprowadziłem!... Zarabiałeś ty na tem grubo, zarabiałem coś i ja, ale zawsze ty więcej... A pomyśl sobie tylko, czyby to pięknie było, gdyby się tak eleganccy znajomi dowiedzieli, że pan Potyra-Potyrowski pośredniczył w rozmaitych wcale niehrabiowskich interesach. Ha! ha! ha!

Potyrowski nie okazał żadnego przestrachu, słysząc te słowa, w których dźwięczała groźba. Spokojnie dokończył śniadania, zapalił papierosa i zaczął:

— No, no, mój kochany, tylko mi nie groź! Wiesz, że nie jestem zbyt bojaźliwy, a niewygodnych mi ludzi umiem usuwać! Zresztą nie przyniosłoby ci to żadnej korzyści, przeciwnie, straciłbyś wygodne źródło dochodu... Gdybyś ty mógł co na tem zarobić, tobyś mnie już był dawno zdradził!

— Znamy się, znamy dobrze! — roześmiał się wcale niezmieszany Ignac.

Potyrowski zagłębił się jeszcze wygodniej w miękim fotelu i mówił dalej:

— Właśnie!... A ponieważ znamy się tak dobrze, więc możemy zaniechać niepotrzebnych pogróżek... Jesteśmy sobie wzajemnie potrzebni, a teraz słuchaj, co ci powiem... Mogę tutaj zrobić, a właściwie pewien jestem, że zrobię wspaniały, kolosalny interes!...

— O! Interes!... A można na nim rzeczywiście zarobić?

— I grubo nawet! Znasz mnie nie od dzisiaj i wiesz, że do kiepskich interesów nigdy się nie biorę...

— Tylko czasem do ślizkich...

Potyrowski rzucił się niecierpliwie.

— Dajże spokój, skąd ci znowu przyszło bawić się w jakiegoś moralizatora, czy głos mojego sumienia... Slizkie, czy nie ślizkie... *„Qui ne risque rien, n'a rien"*, powiada przysłowie francuskie... Nie wiesz, co to znaczy? Aha prawda, ty nie umiesz po francusku... No, mniejsza z tem... Tym razem zresztą chodzi o rzecz zupełnie innego rodzaju... Ja się chcę żenić, rozumiesz!

Ignac aż podskoczył na krześle ze zdumienia.

— Z kim?!

— Z jedną bogatą wdową, właścicielką pięknego majątku ziemskiego...

— Te niby coś tak... ze szlachty?

— Naturalnie! — potwierdził Potyrowski niedbałym, pańskim tonem — To kobieta z bardzo dobrej rodziny, szeroko spokrewniona... Ma bardzo wybitne znajomości... Z inną przecież nie żeniłbym się...

Ignacowi zaimponowało widocznie swobodne, wielkopańskie, nacechowane pewnością siebie zachowanie się Potyrowskiego... Wpatrzył się w swego dawnego wspólnika z wyrazem podziwu, który graniczył z lękiem.

Przez chwilę milczał, jak gdyby usiłował objąć wzrokiem horyzonty, roztaczane przez Potyrowskiego.

Wreszcie zapytał:

— A „hopy" to ona ma, ta wdowa?

— Ma się rozumieć! I to grube! Ja już zasięgnąłem informacyi... Duże kapitały w banku i śliczną wieś z hipoteką czystą jak łza.

Ignac kręcił głową, namyślając się nad czemś.

Wierzył on wprawdzie niezłomnie w spryt Potyrowskiego, jednakowoż praktyczny zmysł, osiągnięty długoletniem obracaniem się wśród mętów miejskich i podmiejskich, nasuwał mu pewne wątpliwości.

Jednakowoż świetny plan małżeński Potyrowskiego olśnił go i zaimponował mu do tego stopnia, że tylko z pewną nieśmiałością zapytał:

— Czy to już interes zrobiony?... Czy po oświadczynach?

Potyrowski zmarszczył lekko brwi i zawahał się przez chwilę, co ma odpowiedzieć.

— Hm... To jest niby tak i niby nie... Formalnie się jeszcze nie oświadczałem, bo znajomość nasza zbyt krótka na to... Widzisz, do kobiety z wielkiego świata nie można przystępować tak obcesowo jak do „czarnej" Mańki z pod „Murzynka". Tutaj, uważasz, trzeba zachodzić ostrożnie, z daleka celować zręcznie, żeby utrafić w samo „złote" serce. Ha! ha! ha!

Potyrowski zaśmiał się, zadowolony ze swego dwuznacznika o „złotem" sercu.

Ignac zawtórował mu, ale po chwili zauważył znowu:

— Ale ta pani musi mieć jakichś krewnych... Może oni się będą sprzeciwiać?...

— Eh! Co tam krewni!... Sympatyę mojej wdówki zdołałem sobie pozyskać, o tem wiem z pewnością, a to grunt! Reszta to głupstwo, z krewnymi poradzę sobie... Ona jest przecież pełnoletnia i niezależna od nikogo...

— Tylko, że...

— No cóż tam znowu?

— A jak to będzie, kiedy przyjdzie do ślubu i trzeba będzie pokazać metrykę, a tam stoi wyraźnie Jan Potyra. O Jerzym Alfredzie Janie hrabi Potyrowskim to niema ani słowa...

— To też właśnie dlatego chcę jak najprędzej doprowadzić to małżeństwo do skutku jeszcze tutaj w Pradze... Z jej krewnych niema tutaj nikogo, nikt więc mi nie będzie zaglądał w karty... A narzeczona przecież nie musi rozczytywać się w metryce narzeczonego... Namówię moją wdówkę na ślub cichy, potajemny, za indultem... Tutaj, na emigracyi, to wszystko łatwiej... A jak będzie po ślubie, to klamka zapadła! Wtedy ja będę panem sytuacyi!

Ignac z uznaniem kiwał głową. Był bardzo zadowolony z tego, co usłyszał. Rozumiał bowiem dobrze, że Potyrowski, jeżeli zostanie bogatym panem, to będzie chciał kupić milczenie człowieka, który wie o nim przecież dużo, bardzo dużo.

— Tak... tak... — przytakiwał z zapałem — To się da zrobić... Nie tak dawno jeszcze, jak czytałem w gazetach o jednym panu, który przez dwadzieścia lat udawał hrabiego... Ożenił się także z bogatą właścicielką ziemską, ludzie go szanowali, został jakimś prezesem... Tylko wkońcu wydało się, że papiery były wszystkie sfałszowane! Wtedy zrobiła się wielka klapa!

— Bo był głupi — zawołał Potyrowski — i sam się niepotrzebnie zdradził!... Zresztą on miał papiery podrobione, a ja nic fałszować nie będę, tylko moich dokumentów nikomu pokazywać nie potrzebuję...

— Pewnie, że tak lepiej! Ale wiesz, gdyby się to małżeństwo nie udało... Ja jestem pewny, że ci się uda, ale zawsze trzeba sobie wszystko naprzód rozważyć... W każdym razie to jest do zrobienia interes... Możnaby tę wieś puścić w ruch... Wiesz, ja mam tutaj jednego takiego „od naszych", on mi mówił już, że jak Moskale ustąpią, to onby chętnie kupił jaki majątek ziemski i zapłaciłby dobrą prowizyę...

Potyrowski wstrząsnął przecząco głową.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Pożegnanie komendanta 13 kompanii „dzieci krakowskich".



Z wojny: Grupa oficerów 57

Legionowa szkoła chorążych na froncie.

W bezpośredniem pobliżu frontu, tuż pod bokiem czujnego nieprzyjaciela, rezyduje od miesiąca pierwsza polska szkoła chorążych.

Najmłodsza ta instytucya legionowa, powstała w celu skompletowania wiedzy militarnej i przybrania bogatego doświadczenia bojowego kilkudziesięciu elewów w teoretyczne szaty. Nie będzie zapewne przesadnem twierdzenie, że jest to jedyna w swoim rodzaju uczelnia wojskowa.

Jedyna zarówno ze względu na niebezpieczne pobliże frontu, jak i niezwykły skład kolegium profesorskiego i materyałn szkolnego; nauczyciele przyjeżdżają na wykłady wprost z pozycyi i teoretyzują pomiędzy jedną patrolą a drugą, podczas gdy słuchacze rekrutują się wyłącznie z pośród starych karpatczyków, zahartowanych w dwudziestomiesięcznej kampanii bojowej i na ósmym z kolei walk terenie składających dowody wypróbowanego męstwa i cnót wojennych.



Z wojny: Karabin maszynowy w okopach.

Zelazna ta gwardya legionowa na krótki tylko czas opuściła swe oddziały — po odbyciu kursu szkolnego znów bowiem wróci do okopów, wzbogacona teoretycznym podkładem wiedzy militarnej i doświadczeniem bojowem kolegów.

Anormalne ustosunkowanie tworzy specyficznie odrębny typ tej akademii wojskowej i rzecz jasna, że panujące tam metody nauczania rażąco odbiegają od znanych nam z pokojowych czasów uczelni wojskowych, a całość stanowi ciekawy przyczynek do dziejów militarnej sprawności Legionów.

Kurs nauki w legionowej szkole chorążych, obliczony na sześć do ośmiu tygodni, obejmuje: taktykę, ćwiczenia praktyczne w terenie, musztrę, naukę o artyleryi, organizacyę wojska, terenoznawstwo, regulamin wewnętrzny i polowy, instrukcyę techniczną (minerstwo), administracyę wojskową i prowadzenie kancelaryi.

Na wykłady szkolne poświęcono trzydzieści cztery godzin tygodniowo, resztę czysto wojskowego rozkładu dnia wypełnia musztra, krótki odpoczynek, powtarzanie wykładów; raz w tygodniu komplet słuchaczy i ciało profesorskie udają się na poblizkie pozycye lub do którejkolwiek z bateryi



Legionowa szkoła chorążych na froncie: Budynek szkoły.



Legionowa szkoła chorążych na froncie: Sala wykładowa.



Z wojny: Atak 57

legionowych, by praktycznie przerobić odbyte wykłady.

Podczas tych ekskursyi część słuchaczy pełni służbę wywiadowczą, gdy reszta, korzystając z nadsyłanych meldunków, wydaje rozkazy i dysponuje — ćwiczy się w umiejętności samodzielnego prowadzenia walki.

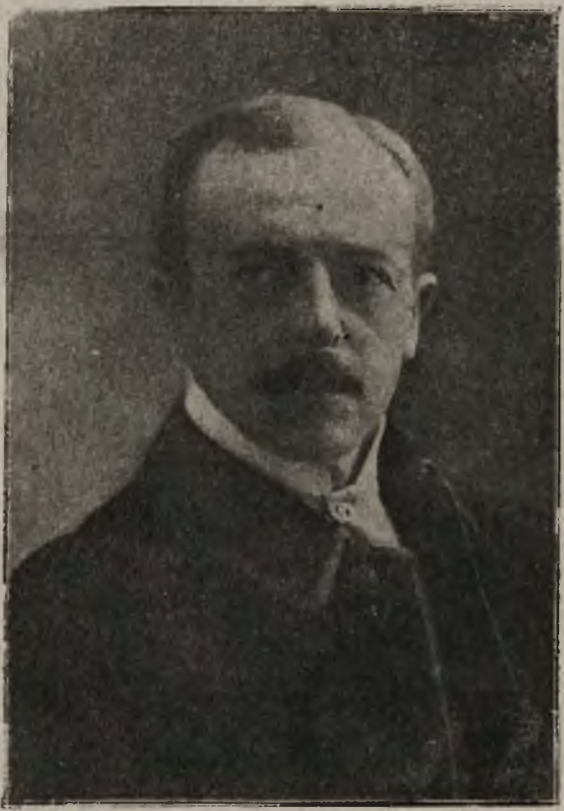
„Gmach" szkolny, mieszczący sale wykładowe, koszary-sypialnie i jadalnie oraz kancelarye, rozparł się na najbardziej widocznem miejscu w Legionowie, chlubnie świadcząc o twórcy budowy — niezmordowanej kompanii technicznej por. Wł. Hellmana; ławki szkolne, katedra i tablica sporządzone ze zwykłych, dziś żywicą spotniałych krąglaków, urządzenie to czysto polowe, bez jakichkolwiek pretensyi do wygód, doraźnej wojennej ma tylko służyć potrzebie.

Podręczniki i słownictwo własne, jak własnym, specyficznie polskim, jest nastrój wojennej młodzi, która niebawem srebrną gwiazdą ubierze kołnierz polowej bluzy legionowego oficera.

Szkoła chorążych pozostaje pod kierownictwem szefa sztabu, kapitana Włodzimierza Zagórskiego, który poza kuratoryą piastuje jeszcze obowiązki profesora taktyki i kierownika ćwiczeń praktycznych w terenie.

Zgon wybitnego artysty.

Scena polska poniosła dotkliwą stratę. W Krakowie zmarł po dłuższej chorobie jeden z najwybitniejszych artystów dramatycznych polskich, długoletni reżyser sceny krakowskiej, ś. p. Andrzej Mielewski. Zmarły artysta urodził się we Lwowie w roku 1867. Zawodowi scenicznemu poświęcił się w młodym wieku i pracował kolejno w kilku prowincyonalnych trupach dramatycznych. Rozpoczął pracę u Liniewicza, a po kilku latach pracy w tem towarzystwie, a następnie kilku innych, dostał się na scenę lwowską. Stamtąd pozyskany został na reżysera do nowo założonego teatru polskiego w Stanisławowie. W roku 1893 dyrektor Pawlikowski zaangażował ś. p. Mielewskiego na scenę nowego teatru miejskiego, gdzie pod znakomitym jego kierunkiem talent, wsparty zapałem, rozwijać się począł coraz pomyślniej. Role Kordyana, Konrada w „Wyzwoleniu", Bolesława Śmiałego, cały szereg doskonałych kreacyi Szekspirowskich, popularna rola Kościuszki i wiele innych zapewniły w biegu lat ś. p.



Zgon wybitnego artysty: S. p. Andrzej Mielewski



Odpoczynek żołnierza 57



Z wojny: Komendant 16 kompanii 57





Starszy lekarz, dr. J. przelicza przyniesione żmije. **Jadowite węże na froncie poleskim:** Kilka dużych okazów żmij. (Fot. dr. E. Pawlss)

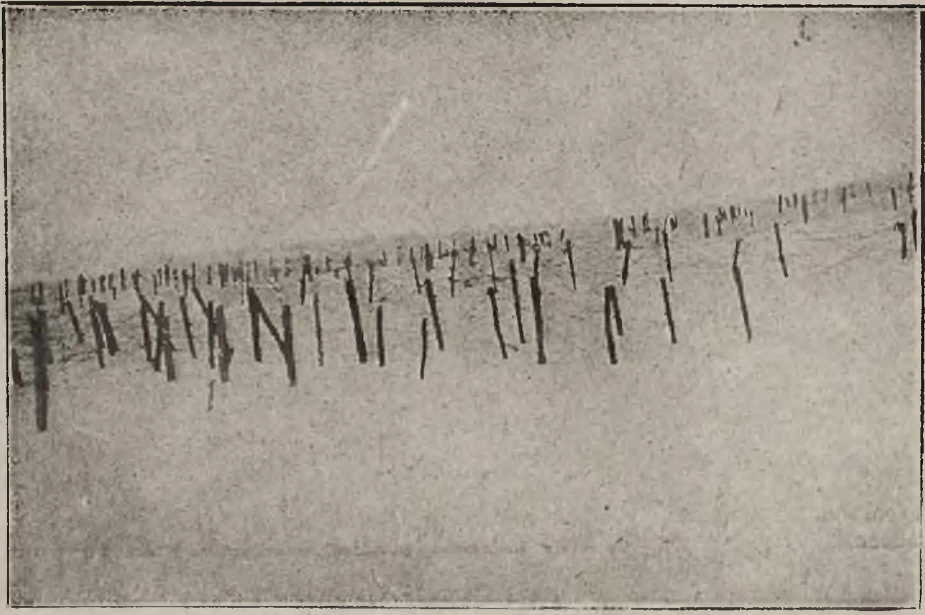
Mielewskiemu pierwszorzędne na scenie krakowskiej stanowisko i zjednały mu żywe sympatye publiczności. W roku 1906 przeniósł się ś. p. Mielewski do Łodzi i tam objął kierownictwo teatru, który w ciągu dwóch lat prowadził we własnem przedsiębiorstwie. W roku 1913 powrócił na scenę krakowską, umożliwiając wznowienie wielkiego repertoaru. Ostatnią rolą, jaką grał na scenie krakowskiej, była rola króla Olbrachta w sztuce Morstina „Legenda o królu".

S. p. Andrzej Mielewski próbował także sił swoich jako autor sceniczny i napisał sztukę ludową, na stosunkach ruskich w Galicyi osnutą, pod tytułem „Nieszczęsne kochanie", która z powodzeniem kilkakrotnie graną była w teatrze krakowskim.

Polska sztuka aktorska traci w ś. p. Mielewskim bardzo utalentowanego i wybitnego pracownika, który wśród aktorów, przedstawicieli ról bohaterskich i dramatycznych, zajął miejsce w pierwszych szeregach. Teatr krakowski traci w nim artystę i reżysera, którego brak scena polska dotkliwie odczuje.



Nowe formacye Legionów: Podoficerowie i oficerowie jako instruktorzy nowozaciężnych IV. brygady Legionów polskich. (—) Podp. Michał Wałęga, (XX) por. Jan Góra, (X) podp. Aleksander Gazda.



Zasieki z drutu kolczastego przed pozycyami austro-węgierskiemi na wschodnim froncie.



Z wojny: Jeńcy rosyjscy wzięci do niewoli przez 16 kompanię 57 pułku piechoty.

Jadowite węże na froncie poleskim.

Armie walczące, przepędziwszy Rosyan z Królestwa Polskiego, zajęły obronne pozycye na Litwie, Polesiu i Wołyniu, wśród olbrzymich lasów, puszcz i bagien. Na tym terenie muszą walczyć z nowym nieprzyjacielem: z jadowitemi wężami i żmijami. W dzisiejszym numerze zamieszczamy ciekawe fotografie z tej walki, nadesłane nam przez lekarza pułku huzarów, dra Eugeniusza Pawlasa, który jednocześnie nadsyła następujące interesujące informacye:

Na ukształtowanie krajobrazu Polesia składają się głównie trzy czynniki: olbrzymie bagna, piachy i lasy. Moczary, ciągnące się nieraz milami, są poważną przeszkodą w operacyach wojennych, a zarazem doskonale ochraniają nasz front poleski przed niespodziewanemi atakami nieprzyjaciela. Z nastaniem wiosny, gdy słońce silniej zaczęło przygrzewać, wypełzły z lasów i bagien całe roje wężów. Na ścieżkach i drogach, łączących nasze pozycye w piaszczystej ziemi, wygrzewają się różne żmije, padalce i zaskrońce, dochodzące tutaj czasem niebywałej wielkości. W takich warunkach nie trudno o nieszczęśliwy wypadek — to też wojskowość z całą bezwzględnością nakazała tępić jadowite gady, a za każdą ubitą żmiję wyznaczyła sowitą nagrodę. Niektórzy żołnierze wprost z namiętnością oddają się niebezpiecznym łowom i całymi tuzinami znoszą zabite węże, a dyżurny lekarz za każdą jadowitą sztukę wypłaca zaraz nagrodę. Sprowadzono też odpowiednią surowicę przeciwwężową, a żołnierzy pouczono, jak się mają zachować na wypadek ukąszenia. Ze ściągniętej skóry ładnych, dużych wężów sporządzają pomysłowi żołnierze efektowne szpicruty.

N. K. N. — obrońcy i opiekunowi Lwowa.

Naczelny Komitet Narodowy wystąpił z nowem wspaniałem wydawnictwem. — Ukazał się właśnie piękny, wielki rozmiarami medal ku czci Tadeusza Rutowskiego, dłuta znanego szeroko w Polsce artysty-rzeźbiarza, profesora Jana Raszki. Kopiec Unii, Katedra, szczyty wież rozlicznych świątyń, nawiedzonej najazdem stolicy kraju, stanowią tło, na którem rysują się doskonale w podobieństwie trafione, niezmiernie dostojnie traktowane rysy czcigodnego i mężnego obrońcy Lwowa, pomnożyciela polskiej kultury we wschodniej części kraju. — Widzimy piękną, szlachetną głowę Prezydenta, nieco jakby pod brzemieniem troski pochyloną i smutne, w niepewną dal przyszłości zapatrzone oczy. Zdaje się, że oto usta te wymowne za chwilę rozewrą się dla rzucenia słów otuchy, zachęty do wytrwania, słów dobrych i śmiałych, których przez rok niemal cały z takiem upragnieniem i wiarą słuchała ludność stolicy. Krótki, silny napis, zaczynający się w okolu głowy i przechodzący na stronę odwrotną, głosi: „Tadeuszowi Rutowskiemu, obrońcy i opiekunowi Lwowa NKN". Na stronie odwrotnej widnieje lew z tarczy herbowej miasta, otoczony laurem, z pod zwojów którego wymykają się ogniwa rozerwanych kajdan niewoli. Obok pamiętne daty. Trzeci wrzesień 1914 — dzień zalania miasta przez hordę rozpasanego żołdactwa, dzień pierwszy bohaterskiego żołnierstwa Rutowskiego, trudnej i niesłychanych wysiłków woli wymagającej pracy obywatelskiej — po stronie drugiej data 22 czerwca 1915 — dzień, w którym nie było już w murach miasta Tadeusza Rutowskiego, dzień ocalenia. Ale chociaż nie przeżył tej daty ostatniej pośród swoich, odczuł ją sercem gorącem, pędzony w głąb rosyjskich stepów jako dzień odpoczynku zasłużonego, — dzień zwolnienia ze straży, wielkiej straży u wrót przybytku polskiej kultury.



Jadowite węże na froncie poleskim: W ciągu jednego dnia ubite żmije. (Fot. dr. Pawlas)

Medal N. K. N. ku czci obrońcy Lwowa jest pierwszym medalem, jaki się ukazał, a za nim pójdą zapewne i inne. Forma wysoce artystyczna, w jaką odziany został, stawia go w pełni na tem pryncypalnem stanowisku i powinszować należy wydawcom, że oddali wykonanie jego artyście tej miary, co prof. Jan Raszka.

Dodać należy, że cena sześć koron, ustanowiona przez Centralne Biuro Wydawnictw, jest tak niską, iż oczekiwać należy, że medal ten zostanie w krótkim czasie wprost rozchwytanym i stanie się rzadkością, skwapliwie przez zbieraczy poszukiwaną.



Nowe formacye Legionów: Komendant pierwszego plutonu rekrutów, podp. Gazda, z swym oddziałem na ćwiczeniach.



Z wojny: Kuchnia polowa 16 komp. 57

MAXIME ANDONIN.

Tajemnica umarłego.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

2

Posiadłość pana Louviers la Guarda znajdowała się o kilkanaście kilometrów od Coatepec, miejscowości połączonej z Jalopą tramwajem ciągniętym przez muły. Właściciel omnibusów z Jalopy nie wiedział jednak o śmierci swojego klienta i zdawał się być tą wiadomością bardzo zdumiony.

Oświadczył się z gotowością wyszukania mi przewodnika do Coatepec i polecił mi zwrócić się tam do znajomego swojego don Ramona, w celu wynajęcia u niego koni.

Przyjąłem tę propozycyę skwapliwie.

Kilkunasto-kilometrowa wycieczka do Coatepec trwała bardzo długo. Przekonałem się przy tej sposobności, jak dziką i niedostępną jest ta część, może najbardziej malownicza z całego Meksyku. Dla podróżnego, droga ta przedstawia wielkie niebezpieczeństwa, nietylko z powodu przepaści otwierających się nagle pod jego stopami, lecz i z przyczyny bandytów, ukrywających się chętnie w gąszczach i zaroślach.

Senor Ramon, któremu przedstawiłem się nazajutrz rano, natychmiast po przybyciu do Coatepec, był to tęgi zuch kościsty, spalony od słońca, który nie uczynił na mnie dodatniego wrażenia. Jego sucha, czerwona twarz, nos zakrzywiony krogulczo i oczy zaszłe mgłą alkoholu nie mogły budzić zaufania.

Zażądał odemnie dziesięciu piastrów z góry, poczem oświadczył mi cynicznie, że zważywszy dobre jego stosunki z okolicznymi napastnikami, w towarzystwie jego nie grozi mi nic złego.

Podniecony gorączką i bliskością upragnionego celu, nie namyślałem się długo — dałem żądane pieniądze i wskoczyłem na siodło przyprowadzonego konia.

Droga, którą z mojego wyboru podążaliśmy, była długa i ciężka, a przedewszystkiem tak górzysta, że niekiedy z niemałym trudem drapać się po niej mogliśmy. Niekiedy znowu wjeżdżaliśmy w wąskie, głębokie łożyska, zaścielone kamieniami, na dnie których z hukiem pędził strumień pieniący się, mając nad głowami zaledwie maleńki pasek nieba, tak że ciemność ogarniała nas zupełnie i miałem wrażenie, że zstępujemy do jakiegoś zimnego grobowca, z którego już nie będzie wyjścia. To znowu jechaliśmy przez tak gęste lasy, iż zdawało się, że lada chwila wzniesie się przed nami mur niebosiężny, nie do przebycia, utworzony z gigantycznych palm i krzewów wydających zapach odurzający.

I wszędzie, wokoło przed nami przeolbrzymie bogactwo wybujałej roślinności, tak różnorodnej i bogatej w gorący, jaskrawy koloryt, że oczy mrużyły się olśnione i zmęczone tym niezwykłym widokiem.

Po sześciu godzinach jazdy, w bajkowej, podzwrotnikowej tej dekoracyi, wjechaliśmy nareszcie do doliny, gdzie krzyżowały się drogi z Coatepec, Hnatusco i la Guardy.

Byłem już więc niedaleko celu mojej podróży. Musieliśmy się jednak zatrzymać w jedynej znajdującej się oberży, gdyż noc już zapadała i dalej nie było można się już narażać.

Oberżysta, uraczywszy nas jakąś polewką z kukurydzy, wskazał nam ziemię ubitą, jako jedyne miejsce zdatne do spoczynku.

Pomimo silnego wyczerpania i zmęczenia, przed zaśnięciem ułożyłem sobie cały plan dalszego działania.

Przypuszczałem, że panna Louviers nie była tak strzeżona w la Guardzie, jak na pokładzie „Nawary", wobec czego don Ramon mógł się z łatwością dostać do niej i prosić w mojem imieniu na chwilę rozmowy.

Ale dla urzeczywistnienia tego zamiaru, byłem zmuszony wtajemniczyć tego, zupełnie obcego mi człowieka w całą sprawę, a przyznaję, że coś mnie odpychało od tej ostateczności. Nie było jednak innego sposobu, a przytem zauważyłem, że Ramon czuły był na dźwięk złota, z czego wznosić mogłem, że chętnie zechce mi oddać tę przysługę.

Nazajutrz rano wyjawiłem mu, ostrożnie dobiera jąc słów, mój zamiar, obiecując mu sowitą nagrodę w razie pomyślnego załatwienia mojego zlecenia.

Oko mojego towarzysza zabłysło chciwością, a z ust jego popłynął wymowny potok słów, mających mnie przekonać o jego gorliwości i posłuszeństwie. W kilka minut później skoczył na konia i pomknął w stronę la Guardy.

Upłynęło zaledwie pół godziny od jego wyjazdu, kiedy dojrzałem zdążającego do oberży z przeciwnej strony człowieka na koniu. Był to sympatyczny drab, czarny, jak węgiel, o skręconych włosach, którego jasne i szczere spojrzenie budziło zaufanie i życzliwość.

Pozdrowił mnie pierwszy głębokim, melodyjnym głosem. Odpowiedziałem na jego powitanie i wymieniwszy z nim kilka słów banalnych, spostrzegłem zaraz ze specyalnego jego akcentu, że należał do współbraci moich z południa. Natychmiast więc porzuciłem język hiszpański i zainterpelowałem go w ojczystym moim języku.

— A to co? — zawołał rozpromieniony. — Pan jest Francuzem?

— Tak jest — odpowiedziałem, podając mu rękę. — Jestem z Paryża.

Zeskoczył szybko z konia i porwał mnie serdecznie w ramiona, śmiejąc się radośnie.

Już teraz byłem pewny, że pochodzi z Marsylii, gdyż tam tylko spotkać można taką impulsywną i bezceremonialną swobodę towarzyską.

I rzeczywiście węch mój nie zawiódł. Był rodowitym Marsylczykiem i nazywał się Marius Cogles.

Odpowiedziałem szczerością za szczerość i wymieniłem swoje nazwisko.

Twarz jego przybrała wyraz wielkiego zdumienia.

— Co? — zawołał, przysuwając się jeszcze bliżej do mnie. — Pan Fontaine!? Pan naprawdę nazywa się Fontaine?

— Lionel Fontaine — potwierdziłem, nie mniej od niego zdziwiony.

— I z Paryża? Ach! to coś ciekawego.

Odstąpił parę kroków odemnie i wyrzekł poważnie:

— Przepraszam za moją niedyskrecyę i proszę zapomnij pan o mojem pytaniu, jeżeli wyda się panu niewłaściwe. Czy nie jest pan przypadkiem krewnym pewnego przemysłowca, który zginął.

Nie dałem mu już dokończyć.

— Jestem jego synem — zawołałem wzruszony, chwytając go za rękę. — I właśnie przybyłem tutaj, aby raz uchwycić słowo zagadki, męczącej mnie tak długo. I słowo to usłyszeć mam z ust pewnej młodej dziewczyny, poznanej na pokładzie „Nawary".

— Panny Louviers?

— Pan ją zna?

— Jestem zarządcą la Guardy. Pan Louviers za życia swojego zaszczycał mnie swojem zaufaniem.

Nie mogłem opanować wzruszenia, jakie mnie ogarnęło na te słowa.

— Panie Cogles — rzekłem, ściskając mocno jego rękę — mam nadzieję, że pan mi dopomoże do rozwiązania zagadki, nad którą strawiłem lat tyle. Szukam na próżno panny Louviers i w pogoni za nią o mało już raz nie utraciłem życia.

Pociągnąłem go na ławeczkę i w krótkich słowach opowiedziałem mu cały przebieg zajścia na „Nawarze", błagając go, by mi był pomocnym w dalszych moich poszukiwaniach. A może sam był panem tajemnicy, którą wyjaśnić mi miała panna Louviers? W takim razie powinien mi ją wyjaśnić, ponieważ młoda dziewczyna sama, dobrowolnie, niczem do tego nie zmuszona, pragnęła tak gorąco wywiązać się z polecenia, danego jej przez ojca w chwili jego śmierci.

Milczał chwilę zatopiony w rozmyślaniach, wkońcu podniósł na mnie oczy, w których jaśniała szczerość i silne postanowienie i rzekł, opierając serdecznie rękę na mojem ramieniu:

— Tak, ma pan słuszność, nie wolno mi teraz milczeć wobec pana. Wiem jednak nie wiele, ale to, co wiem, powiem i może pan zupełnie wierzyć moim słowom. Zdaje mi się przecież, że nie wiele z nich będzie pan mógł skorzystać. Zapewne wiadomem jest panu, że pan Louviers był kasyerem ojca pana?

Drgnąłem zdziwiony. Louviers kasyerem mojego ojca?! Tym kasyerem, który wówczas w tej krytycznej chwili był posądzony o udział w morderstwie? Zapomniałem o nazwisku tego człowieka, który zresztą jasno wykazawszy swoją niewinność, został wkrótce wypuszczony na wolność. I oto teraz znowu powracać musiałem do tego wspomnienia! Czyżby już teraz naprawdę zabłysnąć miało to światło, oczekiwane tak gorąco, w ciemnościach, w których dotąd błądziłem!

Tymczasem Marius mówił dalej:

— W czasie tym byłem chłopcem do posługi w skromnej kawiarni w dzielnicy, gdzie mieszkał Louviers. Przychodził on tam co wieczór po godzinach swojej pracy i zabawiał się w grę w domino z kolegami. W tych małych lokalach o prowincyonalnym zakroju, nie uczęszczanych przez cudzoziemców, wszyscy stali bywalcy znają się i wzajemnie sobą interesują. Nawet pomiędzy gośćmi a personalem istnieje pewien rodzaj sympatyi i życzliwej swobody. Z gorącem zainteresowaniem śledziłem wówczas cały przebieg sprawy pana Fontaine, do której wciągnięty był na czas pewien Louviers i z jakąż radością przyjąłem wiadomość o jego uniewinnieniu. Był tam jakiś niedobry fakt z kluczem od kasy ogniotrwałej, ale on tak jasno dowiódł, że noc zbrodni spędził u siebie, że sędziowie nie mogli dłużej nad tem się zatrzymywać. Ale jak można było choć na chwilę oskarżać tego człowieka o czyn tak okropny! Był on wzorowym, skrupulatnym i uczciwym zawsze urzędnikiem. Wiódł ciche życie w towarzystwie starej piastunki swojej, która prowadziła gospodarstwo jego domowe i opiekowała się małą jego córeczką. Jedyną jego rozrywką było codziennie zebranie z kolegami najlepszej opinii w naszej kawiarni. Co do mnie, nie potrzebowałem dowodów żadnych, aby uwierzyć w jego niewinność. Pomimo jednak uwolnienia przykra ta sprawa nie przestała go dręczyć. W trzy miesiące później, odziedziczywszy po wuju dosyć poważny spadek, postanowił wyjechać z kraju. Jak panu wiadomo, ojca pana łączyły stosunki handlowe z pewnym przemysłowcem z Cordoby. Przemysłowiec ten zaproponował panu Louviers nabycio okazyjne wspaniałych plantacyi w la Guardzie za cenę bardzo minimalną. Louviers skorzystał z propozycyi i wyjechał do Meksyku, zabierając ze sobą córkę i mnie. Piastunka na życzenie swojej rodziny pozostała w kraju, mnie zaś nic tu nie zatrzymywało, bo byłem wolny, jak ptak.

Osiedliliśmy się więc w la Guardzie i dzięki usilnej pracy i wytrwałości, nietylko podnieśliśmy wzrost całej farmy, ale jeszcze niedługo dokupiliśmy część okolicznych plantacyi. Dziś la Guarda przedstawia się bardzo okazale i budzi chciwość i zazdrość niejednych.

Wszystkoby było poszło dalej dobrym trybem, gdyby nie miłość, która niespodziewanie stanęła na drodze pana Louviers. Jeździł on dosyć często w sprawach handlowych do Hawany i tam poznał egzotyczną i niebezpieczną parę intrygantów, Lopeza i jego siostrę. Senora Dolores, zręczna i ambitna przy pomocy swojej kokieteryi tak osidliła pana Louviers, że ją poślubił.

Ale wraz z tymi ludźmi nieszczęście weszło do naszego domu. Lopez, utracyusz i gracz zawołany, tak często zaglądał do portfelu szwagra, że ten nareszcie oburzony zerwał z nim na zawsze stosunki. Senora Dolores zaś od pierwszego dnia znienawidziła swoją przybraną córkę i obchodziła się z nią w sposób oburzający. W całym domu roznosiło się echo wstrętnych scen, wywołanych kaprysami i nerwami żony pana Louviers. W końcu znudzona domowem życiem, zapragnęła pochwalić się w Paryżu tualetami i brylantami swoimi. Louviers musiał ustąpić i cała rodzina podążyła do Francyi, zkąd mój biedny pan nie miał już powrócić.

Siostra i brat natychmiast po pogrzebie powrócili tutaj, zapragnąwszy odegrać rolę prawdziwych posiadaczy la Guardy. Ale ja tu jestem i bacznie obserwuję wszystko. Wiem dobrze, że im zawadzam i pragną się mnie pozbyć koniecznie, ale ja znoszę wszystkie ich złośliwości i zaczepki i trzymam ich w ręku. Już mi nieraz dobrze dokuczyło ich towarzystwo, ale czekać muszę spokojnie i cierpliwie nadejścia pełnoletności Niny. Ona ma mnie jednego tylko oddanego jej całą duszą, strzed więc jej muszę i ochronić przed dyabelskiemi zamiarami tej dobranej pary.

— Jakie to są zamiary? — zapytałem zaniepokojony.

— A co, mój kochany panie, ni mniej ni więcej tylko te łotry chcą zmusić Ninę do poślubienia don Miguela.

— Czy to być może? — zawołałem przerażony.

— Tak mój panie. Już ja dobrze wybadałem!

— Ale jakże to być może! Ona miałaby zostać żoną tego bandyty?

— Tego pragną właśnie!

— Alez to żart chyba. Ona na to nigdy nie przystanie. O ile zdołałem poznać ją i zrozumieć ich wzajemny stosunek, sądzić mogę, że pogardza bratem swojej macochy i nienawidzi go.

— Ale oni się mogą obejść bez jej przyzwolenia. Nie jesteśmy na nieszczęście w naszym kraju, panie Fontaine. Są już w porozumieniu z księdzem i wójtem gminy.

— To niemożliwe! Nie może pan pozwolić, aby się spełniła rzecz tak niegodna!

— Spokojnie, moj panie! Powiedziałem już, że jestem tutaj i czuwam. Ci nędznicy nie potrafili sobie jeszcze zjednać Niny. To energiczna dziewczyna, gotowa w każdej chwili do ostatecznego kroku. Jeździ konno, jak mężczyzna i z rewolweru ptaki w locie strąca. I chociaż śledzą ją ustawicznie i nie wy-

puszczają ze swej opieki, potrafi ona uciec stąd, jeżeli już tego będzie mieć za dużo. A znam pewnego człowieka, nazwiskiem Mariusza Cogles — dodał mój dzielny współziomek, uśmiechając się — który tylko czeka na sposobność towarzyszenia Ninie i opuszczenia na zawsze progów la Guardy.

Nie mogłem oprzeć się wzruszeniu i uściskałem go serdecznie.

— A teraz niech mi pan powie, jakie są pana zamiary! — zapytał po chwili Maryusz — Jak się pan tu dostał?

Niezadowolenie wybiło się na jego twarzy, kiedy go zapoznałem z planem moim i wymieniłem imię i nazwisko przewodnika.

— Aha! To ten brzydki ptak, z którym się spotkałem, podążając tutaj — rzekł, brwi marszcząc — Niedobry pan wybór uczynił. Słyszałem już coś o tym senorze Ramon. Wyrobił sobie w Coatepec i okolicy opinię najfatalniejszą. On jest zdolny poza plecami pana wydać go don Lopezowi, jeżeli ten dobrze go zapłaci. Niech się pan strzeże tego ptaszka i jak pan z nim iść będzie, to radzę mieć broń w pogotowiu — rozumie mnie pan?

— Dziękuję za ostrzeżenie. Przyrzekam panu być ostrożnym.

— Żałuję, że nie mam dziś dnia wolnego. Sprawa bardzo ważna wzywa mnie do Bartolo. Powrócę dopiero wieczorem. Jeżeli się panu nie powiedzie z senorem Ramonem, to proszę tu na mnie czekać, a ja podejmę się ułatwić panu widzenie się z moją Niną.

— Jesteś pan dzielnym człowiekiem, panie Maryuszu! Jakże mam panu wyrazić moją wdzięczność.

— Eh! Co tam, niema o czem mówić! A teraz do widzenia, muszę jechać dalej.

Uścisnąwszy dłoń moją, Maryusz wskoczył na konia i odjechał szybko.

Ja zaś pozostałem pod wrażeniem różnorodnych myśli, rozsadzających mi czaszkę.

Ten dzielny człowiek czuł dla byłego kasyera mojego ojca tak szczere przywiązanie i wiarę niezachwianą, że nie ośmieliłem się podzielić z nim nieprzyjemnem uczuciem, jakie wywołane zostało niektóremi słowami jego opowiadania.

Bo cóż właściwie wyłoniło się z tego opowiadania Maryusza?

Zestawienie bardzo niepokojących i niejasnych faktów, uwłaczających pamięci pana Louviers.

Louviers bowiem odegrał w całym dramacie rolę niewyraźną, którą na nieszczęście wspomnienia moje nie były w stanie realnie określić. Ale w każdym razie były tam rzeczy, które zatrzymały uwagę sędziów. Naprzykład jakiś fakt z kluczem kasy ogniotrwałej. A z tej kasy przecież, jak opiewało dochodzenie, zginąć miała poważna suma pieniędzy i dziwnym zbiegiem okoliczności, w trzy miesiące później na kasyera mojego ojca spada sukcesya, pozwalająca stać się mu właścicielem plantacyi w Meksyku!...

Louviers, jak mówił Maryusz, dręczony był wspomnieniem przykrej tej sprawy i chwycił się skwapliwie okoliczności, dającej mu możność przesiedlenia się do innego kraju. Dopiero po latach powrócił do Francyi, zmuszony do tego kroku kaprysem żony.

Czy te fakta nie rzucają niepokojącego światła na tajemnicze zwierzenia, uczynione córce, wywołane może w obliczu śmierci wyrzutami dręczonego sumienia?

Ale ja nie chciałem, nie mogłem ani na chwilę nawet przypuszczać, aby ojciec tej sympatycznej i pociągającej dziewczyny był mordercą! Odpychałem całą siłą od siebie straszne to oskarżenie! A pomimo to jednak trudno mi było wątpić, aby nieszczęśliwy ten człowiek nie brał jakiegokolwiek udziału w smutnym tym dramacie. W każdym razie odpowiedzialność jakaś musiała ciążyć na nim. Zresztą sam fakt, że Louviers, jako kasyer mojego ojca, był wmieszany w to wszystko i oskarżony — kazał mi przypuszczać, że tylko z tej strony dowiem się nareszcie prawdy, a tej prawdy tak pragnąłem teraz gorąco, tak jej wyczekiwałem!

Powracający w godzinę później mój wysłannik zastał mnie jeszcze pogrążonego w przykrych tych rozmyślaniach.

Twarz jego chuda i ostra jaśniała radością.

Opowiedział mi, że szczęście posłużyło mu nadspodziewanie. Został bardzo gościnnie przyjęty przez don Lopeza i jego siostrę, z czego skorzystał, aby zbliżyć się do panny Louviers i wywiązać się z mojego polecenia. Młoda dziewczyna przyjęła z wielkiem zdziwieniem wiadomość o mojej obecności w okolicy la Guardy i po chwili namysłu oświadczyła mu, że pragnie również bardzo widzieć się ze mną. Właśnie odwiedzić miała chorego pastuszka we wsi i oczekiwać na mnie będzie w jego chacie.

— Niech tylko pan zaraz idzie za mną — zakończył don Ramon — a wszystko będzie dobrze.

Uplanowane spotkanie, według mojego przekonania, ułożyło się nawet za dobrze i nadspodziewanie, a będąc już ostrzeżonym przez Maryusza co do osobistości mojego przewodnika, postanowiłem się mieć nz baczności. Zauważyłem fałszywy i nienaturalnie swobodny dźwięk głosu don Ramona, gdy mi zdawał sprawozdanie ze swojej działalności i spojrzenie jego niepewne, unikające moich oczu. Zadrżałem na myśl nieszczęścia, jakie mnie czekać mogło, gdybym naprawdę wpadł w ręce tego możliwego zdrajcy. Ale jeżeli panna Louviers rzeczywiście oczekiwała mojego przybycia w chacie pasterza, jakżeby sobie tłumaczyła moją nieobecność. Musiałem więc wszystko postawić na ostatnią kartę!

Na pozór spokojny i zadowolony wsiadłem na konia, zdając się nie spostrzegać złośliwego uśmiechu mojego przewodnika.

Lecz gdy zebrałem już cugle i skonstatowałem pewność poprzęgów, wyjąłem nabity rewolwer z kieszeni i odwodząc kurek, wyrzekłem stanowczo, patrząc prosto w twarz don Ramona:

— Lenorze Ramonie, czy dostrzegasz ten mały kamyczek tam w trawie?

— Doskonale.

Wycelowałem i strzeliłem, kamyk rozprysł się w kawałki.

— Ach! to ładny strzał — zawołał don Ramon z zachwytem.

— Tak pan sądzi — odpowiedziałem. — Zechciej więc pan to uważać za ostrzeżenie dla każdego, któryby chciał działać przeciw mojemu bezpieczeństwu. Zapuszczając się w kraj dla mnie wrogi, muszę się mieć na baczności i postanowiłem roztrzaskać głowę każdemu, u którego zauważyłbym ruch jakiś podejrzany. A teraz — dodałem, kłaniając się ironicznie i wskazując drogę przed nami — mam zaszczyt prosić cię, don Ramonie, o przewodnictwo. Nie protestując bynajmniej, wzruszywszy tylko lekceważąco ramionami, don Ramon ruszył przedemną. Jechaliśmy więc w zupełnem milczeniu, jak gdyby między nami nic nie zaszło szczególnego. Ja trzymałem palec na odwiedzionym kurku rewolweru, gotowy w każdej chwili do strzału. Byłem jednak przekonany, że nie ośmieli się mnie napastować w drodze i że zasadzka przygotowana jest na mnie w domku pasterza.

Jechaliśmy już prawie pół godziny bez żadnej przeszkody i już wyrzucałem sobie, że mogłem podejrzywać mojego przewodnika, gdy nagle ze szczytu skały, wznoszącej się nad drogą, ze świstem ciężkim spadło na mnie lasso i okręciło się koło moich ramion. Straciłem równowagę i wypuszczając cugle z ręki, zwaliłem się na ziemię.

Równocześnie zabrzmiał koło mnie wybuch ironicznego śmiechu. W mgnieniu oka zostałem otoczony kilkoma ludźmi o zuchwałym wyglądzie. W jednym z nich rozpoznałem mojego wroga, don Lopeza. Krzyknął rozradowany do don Ramona, nadjeżdżającego ku nam:

— Dobrze się sprawiłeś, mój przyjacielu. Mamy go w ręce. Już teraz nam nie ujdzie!

Dreszcz przebiegł moje ciało. Uczułem się zgubionym!

Bandyci.

Na rozkaz don Lopeza, dwóch ludzi skrępowało mnie silnie lassem i przywiązało do grzbietu konia, poczem cała kawalkada ruszyła drogą ku la Guardzie. Jednakże po pewnym czasie don Lopez dał znak zatrzymania się przed chatą, zamieszkaną przez Indyanina, trudniącego się sprzedażą napojów robotnikom plantacyi.

Tutaj zdjęto mnie z konia i rzucono brutalnie na ziemię. Don Lopez oświadczył głośno, że zamierza wydać sąd nademną.

Indyanin wyniósł kilka butelek i całe towarzystwo skwapliwie orzeźwiać się zaczęło.

Po chwili don Lopez uniósł się z ławki i zawołał donośnym głosem:

— Przyjaciele! Widzicie tego nędznego człowieka u moich stóp. Oskarżam go publicznie o przybycie w naszą okolicę w zbrodniczym zamiarze wykradzenia mojej narzeczonej Niny, którą poślubiam jutro rano!

Lękając się, że nie rozumiem narzecza, pochylił się nademną i wymówił wolno w ojczystym moim języku:

— Czy zrozumiał pan, panie Fontaine? Poślubiam jutro tę ładną dziewczynę i daję panu na to słowo, że na tej uroczystości nie będziesz!

Nie mogłem wymówić słowa, przejęty zgrozą i niepokojem.

Don Lopez zwrócił się teraz do swoich towarzyszów i rzekł:

— Ten awanturnik chciał wciągnąć w niecny ten zamiar szlachetnego człowieka, który gotów jest wyjawić wam całą prawdę. Swiadek powie wam, że otrzymał od tego zbrodniarza polecenie wciśnięcia się do mojego domu i nadużycia mojej gościnności w celu uprowadzenia Niny. Czy jest to prawdą don Ramonie?

— Najczystsza prawda! — potwierdził mój zdrajca z całem zuchwalstwem.

Szmer niezadowolenia i groźby przebiegł słuchających.

— Zostałem jednak szczęśliwie ostrzeżony przez don Ramona — mówił dalej don Lopez — i mogłem wobec tego przy waszej pomocy, przyjaciele, zniszczyć podstęp tego cudzoziemca. A teraz, proszę was, wydajcie sąd nad nim i wybierzcie stosowną karę, na którą zasłużył!

Jednogłośnie wzniósł się piekielny okrzyk:

— Na śmierć zdrajcę! Na śmierć!

Rodzaj śmierci został szybko wybrany. Miałem zostać powieszony.

Dwóch oprawców przystąpiło do mnie w chwalebnym zamiarze podciągnięcia mnie pod najbliższe drzewo, kiedy don Ramon, opowiedziawszy jeszcze moją zuchwałość względem niego, w chwili wyjazdu z oberży — zaproponował, żeby jeszcze przed wykonaniem ostatecznej kary wypróbować moją odwagę i przekonać mnie o szczerości jego współziomków.

Uchwalono zatem, że służyć miałem za cel do zabawy w oszczepy, nazwanej tutaj „machete“.

— Senor Francuz zapewne nie wyobraża sobie tej przyjemnej rozrywki? — zapytał wyzywająco don Ramon, widząc obojętność moją.

— Przeciwnie, zna ją doskonale! — odpowiedział don Lopez — jego matka była przecież Meksykanką.

— I pan wie o tem? — zawołałem, nie mogąc powstrzymać zdziwienia, wywołanego przeświadczeniem, że temu człowiekowi nie są obce moje stosunki rodzinne.

Wzruszył ramionami za całą odpowiedź i wydał rozkaz poczynienia przygotowań potrzebnych.

Przy pomocy drugiego lasso przywiązano mnie do pnia grubej palmy, na którym wszyscy bandyci mieli oznaczyć sobie miejsce wybrane na rzucenie sztyletu.

Miejsca te oczywiście mieściły się tuż obok mojej głowy. Zazwyczaj Meksykanie nadzwyczaj są zręczni w tego rodzaju zabawie. Tylko, że teraz, po wysączeniu kilku butelek silnego napoju, nie mogłem liczyć na pewność ich ręki i tę rozrywkę mogłem przypłacić życiem, a do ostatniej chwili miałem nadzieję, że jakiś przypadek wybawi mnie z niebezpieczeństwa.

— Niech się dzieje co chce! — pomyślałem. Muszę przywołać całą moją odwagę, bo nie mogę pozwolić, aby ci bandyci cieszyli się moją słabością i lękiem!

Wszystko już było gotowe.

Hasło rozpoczęcia miał wydać sprawca tej propozycyi. Don Lopez zawezwał go do tego przyjaznem skinieniem ręki. Don Ramon stanął więc naprzeciw mnie, oświadczając, że „udekoruje mnie kulczykiem“ — i przyznaję, że przeżyłem wówczas bardzo przykrą chwilę. — Pomimo to, patrzyłem prosto w oczy mojego zdrajcy, błyszczące fałszywym blaskiem i zaledwie zmrużyłem powiekę, kiedy szerokie ostrze przeszyło błyskawicznie powietrze i tępem uderzeniem zaryło się w korę drzewa, zadrgawszy kilkakrotnie przy mojej szyi.

Rozległy się żywe oklaski.

— A teraz moja kolej! — oświadczył don Lopez. — Muszę wypełnić w ten sam sposób lewą stronę. Senor Fontaine miałby żal do mnie, gdybym nie umiał mu pokazać mojej zręczności.

I znowu stalowa błyskawica przeszyła powietrze i broń z tą samą symetrycznością i wprawą zapadła w drzewo z lewej strony, przecinając mi włosów kilka.

Tym razem wzniosły się entuzyastyczne okrzyki radości.

— No! — pomyślałem — Jakoś dotąd nie źle idzie. Ale to jeszcze nie koniec. Ta zabawka w każdej chwili popsuć się może.

Obawy moje nie były może płonne, bo teraz kolej nadeszła na wielkiego draba, którego oczy błyszczały podniecone, nieprzytomne prawie działaniem alkoholu.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z wojny: Typowy krajobraz albański — teren walk armii austro-węgierskiej.



Odbudowa Galicyi: Ogólny widok Gorlic z ul. Zielonej w obecnym czasie, po uprzątnięciu gruzów.

Kronika tygodniowa.

Nie przypuszczałem nawet, że ów pan, który ułożył przysłowie: „Jeżeli Boże Narodzenie po wodzie, Wielkanoc po lodzie“, miał racyę. Zaledwie tydzień dzieli nas od świąt, a tu niebiosa urządziły nam niespodziankę, okrywając Kraków śnieżno-białem prześcieradłem, które do wieczora zmieniło swój kolor na brudno-szary. Wobec tego kto wie, czy na rezurekcyę nie pojedziemy sauiami, skoro nie mogliśmy tego zrobić w wilię, wybierając się na pasterkę. Jeśli tak dalej pójdzie, to i w Galicyi zachodniej zmienimy kalendarz, po kwietniu będziemy mieć marzec, potem luty, wreszcie styczeń, w Zielone Swięta odbędą się na Bielanach zawody saneczkowe, a na dawny lipiec przypadnie otwarcie miejskiej ślizgawki w Parku Krakowskim i Oleandrach.

A pan Feb w „Kuryerku“ tak się drwiąco uśmiechał, widząc swojego czasu roboty przygotowawcze. Chyba nie miał racyi!

Wielki tydzień w wojennym roku 1916 nie jest w niczem podobny do swych poprzedników, rzadko w którym domu robi się przygotowania do święconego, z czego najmniej zadowoleni są amatorowie gratisowej wyżerki i wypitki. Tego roku odpadły też zwykłe ćwiczenia w gimnastyce pokojowej (tarcie maku, obieranie rodzynków, siekanie migdałów i t. d.), które były udziałem ojców rodziny. Skończyło się na uroczystem zawieszeniu świeżych, choć nieco dziurawych firanek, przy której to operacyi omal karku nie skręciłem. Weronika powiada, że to wielka szkoda, jestem bowiem ubezpieczony od wypadku, a pieniądze zdałyby się na święta, zwłaszcza, że czynsz za mieszkanie dotąd jeszcze nie jest zapłacony.

We święta więc będziemy tylko łapę lizać i żyć wspomnieniami dawnych, minionych lat, kiedy to stoły nawet chudopachołków uginały się pod ciężarem mis i dzbanów. Tak! Strasznych dozyliśmy czasów, ale pocieszajmy się nadzieją, że i to minie, nastaną lepsze i tłuściejsze.

Ze względu na niepogodę i śnieg cierpię już od poniedziałku. Jeden z mych znajomych, który właśnie w tym okresie obchodził imieniny, odwołał je, tłumacząc się niepomyślnymi warunkami atmosferycznymi, z tej samej przyczyny nie wyjechałem też do Piotrkowa, dokąd zaprosił mnie na święcone jajko jeden z mych przyjaciół politycznych (zapomniał jednak podać bliższy adres, bojąc się zapewne, bym mu na kark nie zjechał).

Zazdroszczę swoją drogą Piotrkowianom, że mogą sobie pozwolić na taki zbytek, jak święcone jajko! Dawniej raczono się u nas we święta różnymi świńskimi i nieświńskimi delikatesami, dziś wystarczy powiedzieć, że szynka kosztuje prawie sto koron, za indyka płaci się tyle, co dawniej za strusia, gęsi kupuje się na wagę złota, a zwykła kura dochodzi w cenie do trzydziestu koron! Nic też dziwnego, że wobec tego przewrócił̇o im się wszystkim w głowie, kury nie chcą jaj znosić, a gęsi i kaczki chodzą nadęte, niczem pawie...

I jak to długo jeszcze potrwa?... Jeśli kto wie, niechaj puści parę, a zyska sobie ogólną wdzięczność społeczeństwa. Jeszcze za życia wystawimy mu pomnik, gdyby zaś przypadkowo umarł, czego mu jednak nie życzę, pochowamy go na koszt miasta w grobie zasłużonych. Pan Asquith (oby za to z piekła nie wylazł!...) twierdzi wprawdzie, że wojna potrwa jeszcze przynajmniej pięć lat, ale ja temu nie wierzę, bardziej podoba mi się przepowiednia owego chłopca, który zaręczył, że koniec będzie jeszcze w tym roku i to w miesiącu, zaczynającym się we wtorek. A takim miesiącem, jak sprawdziłem na własne oczy w kalendarzu, będzie sierpień.

Czekajmy więc, a przekonamy się, kto miał racyę.

Z kolei rzeczy muszę teraz poruszyć kilka piekących spraw, które jednak traktować będę zupełnie na zimno, jak na zrównoważonego obywatela przystało.

W pierwszym więc rzędzie muszę się pochwalić, że mam już kartę cukrową, niestety nie mam jednak cukru, choć codziennie odwiedzam po dziesięć sklepów. Wszędzie powiadają jedno i to samo: „Cukier jeszcze nie nadszedł, jest już w drodze!“ Czekam więc cierpliwie, a tymczasem chodzę od trafiki do trafiki, prosząc o tytoń i dowiaduję się, że także jest w drodze. Aby tę miłą wiadomość usłyszeć, musiałem pod trafiką pana Bujańskiego stać na deszczu dwie i pół godziny, zanim na mnie przyszła kolej. Udało mi się natomiast kupić dwa pudełka zapałek, z czego jestem bardziej dumny, niż gdybym znalazł dyament, wielkości gęsiego jaja. A schowałem je troskliwie, nadejść bowiem może czas, że jedna zapałka będzie kosztować koronę. Wówczas zrobię na tem brylantowy interes, niczem ś. p. Zabłocki na mydle.

Ledwie się z tem załatwiłem, miałem potem do czynienia z owym nieboszczykiem z Półwsia Zwierzynieckiego, który zgłosił się w Redakcyi z prośbą, by mu dać spokój, aczkolwiek bowiem opis całego zajścia był najzupełniej zgodny z prawdą, nękają go ciągle znajomi i przyjaciele pytaniami:

— Panie łaskawy! Wiec to pana zabito?

— Panie drogi! Więc pan na prawdę żyje?

Obiadu zjeść spokojnie nie może, na ulicy się nie pokazuje, gdyż każdy, kto go spotka, znajomy, czy nieznajomy, trąca drugiego, idącego obok, kieruje wzrok w jego stronę i mówi:

— Patrz! Idzie nieboszczyk...

Tłumaczyłem się, jak mogłem, obowiązkiem kronikarskim, ostatecznie dał się przekonać, gdy mu przyrzekłem solennie, że się to już nigdy nie powtórzy, chyba...

— Żadne chyba! — przerwał — Albo pokój między nami, albo wojna. Wybieraj pan!

I podał mi dwa fałdy swej peleryny, a ja, rzecz prosta, wybrałem pokój.

Potem znów nowy kłopot i to do tego nie byle jaki. Chodzi mianowicie o ów „Krzyk za dzieckiem“, o którym wspomniałem w poprzedniej kronice na samym jej wylocie, co jest pewnym znakiem, że do tego materyału w swoim czasie jeszcze powrócę. Różne matki i kandydatki na matki zasypują mnie formalnie listami, prosząc, bym się wywnętrzył, jak się na tę kwestyę zapatruję. Ja jednak na tem się nie znam, to nie jest mój referat, odnośny zaś pan, który się temi sprawami zajmuje, jest właśnie na urlopie. Czekam więc, aż powróci, a wówczas we dwu zabierzemy się do rzeczy. Będzie to prawdziwie fachowy duet, który zadowoli chyba ogół Czytelników.

To tylko najgorsze, że niektóre z pań, zapewne przez pospiech, zapominają frankować listy, wobec czego musi Administracya nasza płacić podwójne porto i obciąża niem moje konto, twierdząc słusznie, że skoro listy są adresowane do kronikarza, on powinien ponosić wszelkie konsekwencye.

Najbardziej podobała mi się owa niewiasta, która w przypisku do listu zawiadamia mnie, że już po wrzuceniu go do skrzynki przypomniała sobie z prawdziwym żalem, że nie nalepiła marki, przeprasza mnie więc serdecznie i obiecuje zwrócić pieniądze przy sposobności odnowienia prenumeraty.

Co za znakomity materyał na naiwną! Podobno jest w teatrze wolne miejsce, radziłbym jej, niech się zgłosi, zgłoszenie niechaj jednak raczy przesłać w liście opłaconym.

I myślicie może, zacni Czytelnicy i Wy, nadobne Czytelniczki, że na tem koniec mych wielkopostnych kłopotów?... Jeśli tak, to jesteście w błędzie. mnożą się bowiem z dnia na dzień, niczem grzyby po deszczu.

Ot, kilka dni temu otrzymałem kartkę od żołnierzy krakowskich z Kromieryża z prośbą o przysłanie im kolendy. Niestety! Kolendę daje się w Boże Narodzenie, nie na Wielkanoc, choć ostatecznie i teraz dałbym, gdybym jednak miał! Jestem goły, niczem turecki święty i to taki pierwszej sorty, z próżnego zaś nawet Salomon nie naleje...

Następnie znowu jakiś młody kandydat na poetę pisze do mnie, bym mu raczył udzielić fachowej wskazówki, co trzeba czynić, aby módz pisać wiersze. Prosi też, bym mu podał podręczniki, z których mógłby korzystać. Odpisałem, że chcąc być poetą, trzeba mieć pióro, papier i atrament (o natchnienie mniejsza!...), nieodzownym zaś podręcznikiem dla każdego szanującego się kandydata na „rymarza“, są „Prawidła pisowni polskiej“, wydane przez krakowską Akademię Umiejętności. Nizka cena, bo tylko dwadzieścia halerzy, umożliwia nabycie nawet mniej zasobnym. Ostatecznie można nawet taniej nabyć na Szpitalce.

W każdym razie radziłbym owemu panu, by sobie dał z poezyą spokój. To teraz nie popłaca, zwłaszcza, że wierszorobów, którzy potrafią pisać o wszystkiem, jest z dnia na dzień coraz więcej. Wystarczy powiedzieć, że w Redakcyi mamy osobnego służącego, który zajmuje się przez dzień cały opróżnianiem specyalnego kosza redakcyjnego, przeznaczonego na pomieszczenie niedonoszonych płodów Muzy różnych młodych i starych kandydatów i kandydatek na Parnas. Ubiegłą zimę paliliśmy w piecu ich utworami. Dają wprawdzie mało ciepła, ale zato dużo dymu, co się równoważy. Gdyby nie to, że w *Nowościach Illustrowanych* nie pomieszczamy poezyi, nie zaszkodziłoby wcale, gdyby się tak od czasu do czasu wydrukowało jaki utwór, jako ostrzeżenie dla innych, że się tak pisać nie powinno.

Jeszcze gorsze są kłopoty zwłaszcza z autorkami, które same się zgłaszają do Redakcyi, błagając tylko o chwilkę cierpliwości, chciałyby bowiem odczytać swe utwory i prosić o łaskawą ocenę. Tłumaczymy się zwykle brakiem czasu, gdy to jednak nie pomaga, któryś z nas musi się ofiarować, co mu kiedyś policzonem będzie, jeśli nie w tem życiu, to bodaj w przyszłem.

Zwłaszcza odkąd weszły w modę wielkie zarękawki i torby i torbeczki, każda z autorek nosi ze sobą całą bibliotekę swych utworów i biada ci, jeśli bodaj połowy nie wysłuchasz. Powie, żeś gbur nieokrzesany, człowiek pozbawiony wszelkich ideałów...

Jeśli pochwalisz, toś wpadł z deszczu pod rynnę, zacznie cię bowiem prosić, byś się postarał o wydrukowanie.

— Zacny redaktorze! — jęczy taka pani — Ja nie żądam za to honoraryum! Wydrukujcie, a przekonacie się, jak wzrośnie poczytność waszego pisma...

Nie pozostaje ci nic innego, jak obiecać, a potem tłumaczyć się, że nie zamieściłeś z powodu braku miejsca i nawału materyału aktualnego.

Czasem uwierzy, ale częściej nie!

Gdybym drugi raz przyszedł na świat, nie chciałbym być publicystą, na razie przecież pogodzić się muszę z garbatym losem, ale proszę Czytelników o łaskawe współczucie, a co za tem idzie i o wyrozumiałość, że nie zawszę spisuję się tak, jakbym może powinien.

Zaledwie siedm wierszy druku pozostało mi na złożenie Czytelnikom, a zwłaszcza Czytelniczkom życzeń „Wesołego Alleluja“. Im jednak będą one krótsze, tem będą serdeczniejsze. Życzę „na sucho“, nie dzielać się z nikim jajkiem święconem, bo dziś zbytek, na który mnie nie stać. Przyjmijcie je Państwo z takiem sercem, z jakiem je niosę!

Zagadki do nagrody.

Grzebieniówka.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwisko jenerała polskiego z czasów wojen napoleońskich.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —
— — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Nauka o uczeniu. 2 Jarzyna. 3 Ssak morski 4 Stolica europejska. 5 Inaczej wziewanie.

Szarada.
(Parodya)
Ułożył A Marczyński, Kraków.

O czem tak *pierwsze-drugie* młodzieniec,
A o czem obok dziewica?...
On dla niej zrywa kwiaty na wieniec,
Chodząc przy świetle księżyca,
Ona mu *drugie-trzecie* podaje,
Któż to jest pod tym modrzewiem?
On, jako *całość*, przebiega gaje,
Kto jest dziewczyna, ja nie wiem!

Trójkąt magiczny.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę najwyższego wulkanu świata.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Wynagrodzenie pieniężne 3. Imię męskie 4 Klasztor 5 Utwór poetycki. 6. Instrument muzyczny. 7. Państwo w Europie. 8. Imię żeńskie. 9 Przyprawa. 10. Pieniądz francuski 11 Samogłoska.

Rozsypane litery.
Ułożył E. Winter, Stanisławów.

Z rozsypanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
A, a, c, e, i, i, k, k, k, n, ń, o, o, o, p, s, t, u, y, z.

Łamigłówka kryształowa.
Ułożył H. M, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, pionowy i poziomy, utworzą nazwę postaci z mitologii greckiej

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
□ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Dopływ Warty. 3. Wyspa na morzu Egiejskiem 4 Pasmo gor w Europie. 5. Szukany wyraz 6 Półwysep w Ameryce. 7 Arcykapłan litewski 8. Góra koło Troi. 9 Samogłoska.

Zagadki.
Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

1. Jaki ogon zajęczy?
2. Bez ciała, bez duszy,
   A w cieple się ruszy.
3. Gonią się goście
   Po lipowym moście.
4. Lipowe drzewo wesoło śpiewa,
   Koń nad baranem ogonem kiwa.
5. W koszuli się na świat rodzi.
   A po świecie nago chodzi.
6. Bez nóg, bez rąk, bez głowy i brzucha,
   A gdzie się obróci, wszędzie sobie dmucha.

Logogryf.
Ułożył St. Danecki, Przerów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwiska dwu niemieckich klasyków muzycznych.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — — — —
■ — — — — — — —
■ — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2 Pojęcie geograficzne. 3. Dramaturg hiszpański. 4 Okres w literaturze.

Zagadka.
Ułożył A. Marczyński, Kraków.

Treść mej zagadki:
Pewna kobieta
Nie miała matki,
Żyła w ogrojcu,
A żoną była
Swojemu ojcu!

Bilety wizytowe.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód, poszczególnych osób.

I. E. BRETL

LEON K H TETRECKI

NATECHALSKI.

H. NAPŁUCKI

PAWEŁ MARYA Z. OTOWSKI

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 15.

Trójkąt magiczny:

K a r o l T r z a s k a D u r s k i
A b r a h a m o w i c z D a w i d
R e k o n w a l e s c e n c y a
O r z e s z k o w a E l i z a
L e l e w e l J o a c h i m
T r y g o n o m e t r y a
R z e ź b i a r s t w o
Z a l e s z c z y k i
A l c y b i a d e s
S e b a s t y a n
K a l a h a r i
A d m i r a ł
D o c e n t
U m b r a
R ę k a
S a n
K n
I

Równanie:
Oliwa + Korzeniowski + Szkocya + Jawa = Orzeszkowa.
Ekwador + aligator + kazamaty = Eliza.
Pancernik + degradacya + baron = Pan Graba.

Szarada: Innocenty.

Łamigłówka wojenna: Włodzimierz Ostoja Zagórski.

Kwadrat magiczny:
R a b a
A r a d
B a b a
A d a m

Zadanie do przestawienia: Chroń mnie Panie od przyjaciół, bo od nieprzyjaciół sam się obronię.

Bilety wizytowe: Organista. Miecznik. Drwal. Szewc. Tracz.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń. K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków. J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Borowiecki Lwów. M Golska Wiedeń, Z. Szymanek Nowy Sącz, R. Królicki Krościenko n D. K. Kowalski Wiedeń, E Winter Stanisławów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **E. Winter, Stanisławów.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Podsłuchane.

— Dlaczego patrzysz z takiem politowaniem na tego pana?

— Wyobraź sobie! Uprowadził moją żonę i teraz musi żyć z nią!

Przezorny.

W przedziale trzeciej klasy na przestrzeni Stanisławów-Woronienka leży na ławce jakiś długonogi pasażer, który swe odnóża wystawił przez okno. Widząc to konduktor, zbliża się do niego i rzecze:

— Panie! Proszę teraz schować nogi! Wjeżdżamy za chwilę do tunelu, mógłby pan butem uszkodzić jego ściany...

U lekarza.

— Panie doktorze! Synek mój połknął dwudziestokoronówkę złotą...

— Bardzo przepraszam, ale chwilowo nie mam czasu, przyjdę popołudniu.

— Prosiłbym zaraz, bo bardzo potrzebuję pieniędzy... Na razie choćby dwie lub trzy korony. Reszta może być później!

Znawca i miłośnik sztuki.

— Pan, jak widzę, nie jest amatorem muzyki?

— Ale owszem. Po prostu waryuję za Wagnerem!

— Nie widziałem pana dotąd na żadnej operze.

— Bo ja czekam, aż Wagner napisze nową operę...

— Przecież on już umarł!

— Właśnie też dlatego nie chodzę na opery...

Zapatrywanie dziecka.

Młoda wdowa (do syna): Mój Jasiu, gdy podrośniesz, to wówczas poznasz, jaką miałeś dobrą mamusię!

Jaś: Tak! Gadaj sobie! Gdybyś była dobrą mamą, byłabyś już dawno wyszła za mąż, za jakiego cukiernika!

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien — **Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego**
Kraków, Plac Szczepański L. 3 (dom własny) — **Telefon Nr. 381.**

C. SZCZURKOWSKI
Kraków, Grodzka 2
poleca:
Zabawki, Gry towarzyskie, Lalki itp.

Miód
zastępuje drogie masło. Bańka pocztowa 5 kg. 10 K. Wysyłka za pobraniem Cenniki niemieckie lub czeskie wysyła Fr. Wenzel, Baumschütz Ołomuniec 70.



PATEFON
(od K 60·— wzwyż, płyty po K 3·—, 5·— i 7·—.
pożądany i wierny towarzysz, rozproszyciel trosk (gra, śpiewa, opowiada)
Posyłajcie go braciom walczącym **w rowach strzeleckich**, koi on ich tęsknotę za domem i krajem.
TADEUSZ BERGER
Kraków, Szewska 225
Cenniki na żądanie darmo.

Wojenny zegarek i budzik. **Branzoletka z zegarkiem K 12.**

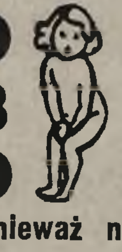


Wojenny zegarek z podwójnym relifem J. Ces. M. cesarza Franciszka Józefa I. i Wilhelma II. albo z poczwórnym relifem „Viribus unitis 1914—1916" w stalowej lub niklowej schowce z dobrym werkiem Anker K 6·—, I. jakości kor. 8·—. Radiowy K 10·—. Prawdziwy srebrny K 15. Budzik kieszonkowy K 20·—. Radiowy K 28·—, odpowiednia skórzana opaska na rękę K 2·— osobno. Branzoletka z zegarkiem z skórzanymi rzemykami duży format K 6.—, radiowy K 10·—, branzoletka z zegarkiem mały format według rysunku K 10·—, 12·—, radiowy K 15·—, 18·—, z precyzyjnym werkiem Anker K 24·—, marki Cyma K 30·—, Omega K 50·—, radiowy K 10·— więcej. Szkło ochronne według rysunku K 2·— i więcej. Wojenny budzik niklowany 30 cm, wysoki K 6·—, 3-letnia gwarancya. Wysyłka tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości i 1·— K na opakowanie, opłacone do całych Austro-Węgier i w pole przez **I-szy skład zegarków wojennych**

Max Böhnel, Wiedeń, IV. Margaretenstrasse 27/62.
Od 5 koron każdy zegarek radiową tarczą opatrzony i 10 letnia gwarancya na siłę świetlną. Oryginalny fabr. cennik darmo.

4
(Nadmierna wrażliwość) szyi przy działaniu zimnego powietrza pochodzi z wadliwej cyrkulacyi krwi. Tak zwane zahartowanie szyi przeciwko działaniu zimna opiera się na ożywieniu dopływu krwi do wszystkich narządów szyi i gardła. Zahartowanie to osiągamy przez zewnętrzne nacierania i przepłukiwania gardła Fellera odświeżającym i ożywiającym fluidem z esencyi roślin z marką „Elza". Użycie tego ból uśmierzającego i odflegmiającego środka domowego jest najlepszym środkiem zapobiegawczym przeciwko przeziębieniom szyi. 12 flaszek tego znakomitego środka domowego za 6 koron posyła wszędzie franko aptekarz E. V. FELLER, Stubica, plac Elzy Nr. 127 (Kroacya). O nadzwyczaj dobrym wpływie jest zawsze przy chorobach z przeziębienia przyspieszenie przemiany materyi. Kto przeto cierpi na ciężki stolec i zatwardzenie niechaj używa Fellera łagodnie przeczyszczających pigułek rumbarbarowych z marką „Elza". 6 pudełek kosztuje 4 korony 40 halerzy franko i wskazanem jest zamówienie obu tych środków domowych, ażeby w potrzebie mieć je zawsze pod ręką. Jako dopakowanie Fellera sztyft mentolowy przeciw migrenie 1 korona i ów zawsze niezawodny środek nagniotkowy. Fellera plaster turystyczny z marką „Elza" po 1 koronie i po 2 koron, będą nieraz wielce użyteczne. *(s)*

BOBO PUDER BEZ MĄKI DLA DZIECI
zestawiony na podstawie najnowszych badań nauk.



BOBO chroni skórę przed odparzeniem
BOBO wchłania wilgoć znakomicie
BOBO działa antyseptycznie
BOBO nie tworzy podłoża dla bakteryi, ponieważ nie zawiera mąki (skrobi), która kiśnie. — BOBO najlepsze mydło dla dzieci. — Każda matka, dbająca o zdrowie dziecka, używa tylko pudru i mydła BOBO. — Proszę żądać we wszystkich aptekach i drogueryach. Skład: „Pharma", Długa 5.



Pewny skutek **lub zwrot pieniędzy. Przez lekarzy zaopiniowany** jako znakomicie działający, tysięczne listy z podziękowaniami każdej chwili do przejrzenia. **Jędrny piękny biust** otrzyma się przez użycie **Dra mod. A. Rixa kremu na biust**. Urzęd. stwierdzony jako nieszkodliwy, dla każdego wieku **szybko i pewnie działający**. Do użycia zewnętrznie. Jedyny krem na rozwój biustu, który z powodu nadzwyczajnego działania wprowadzony został do aptek, nadw. drogueryi etc. Próbna doza K 3·30, wielka doza, wystarczająca dla skutku K 8·80. Wysyłka pod ścisłą dyskrecyą Dra **A. Rixa** kosm.-labor **Wiedeń IX, Lakierg. 6|F.** Składy w Krakowie: Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15; Reim i Ska, Rynek gł. 37. **We Lwowie** do nabycia: S. Rucker, apteka pod „Srebrnym orlem" ul. Krakowska 1, Perfumerya Sładowskiego. Bielsko: droguerya Polaczka, Kolejowa. W Cieszynie: Schw. Hunddrog. i Anckerdrog.

KINO-WANDA
przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.
Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.
Zakopane, Krupówki.
WIELKI WYBÓR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej. **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty.	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby **skórzane** Wielki wybór **torebek** damskich.	Wielki wybór **ZABAWEK. Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane.

SKUTECZNE LEKI.
NA REUMATYZM: Balsam antyreumatyczny (częstochowski 2 K). Antyrheuma tabletki (3 K).
NA SWIERZB: Maść i mydło (2 K).
NA EPILEPTYCZNE ZAPADŁOŚCI (100 tabletek 6 K).
Główny wyrób i skład wysyłkowy: **Benigniny i Kremu wschodnich piękności** (na piegi i wszelkie pryszcze). Skład maści i mydeł: Leschnitzera, Oja, Diana, Gurahumory i t. d. Wszelkie środki antyseptyczne przeciw tyfusowi, cholerze i chorobom sekretnym. 9097
DLA KONI: Liniment na parchy (1 litr 5 K).
Maść na pocenie się, nagniotki, przeciw wszom. Nerwoton Witkiewicza. Nerwol. Wszelkie balsamy żołądkowe i t. d. wysyła 3293
JUL. ŁOPATKA, aptekarz w Kołomyi ul. Jagiellońska.

Rowery Ryval

są przecież najlepsze!
K 145 kompletny z torpedem, lampą acetylinową, dzwonkiem, torbą z przyrządami. Pompa połaniała, płaszcze na wszystkie ceny. Pedały za parę K 3·—. Łańcuchy K 3·50. Latarnia K 1·95. Rączki 30 hal. Ochraniacz od błota K 2·25. Lampy kieszonkowe i baterye, maszyny do szycia i m. do mówienia. Cenniki Nr. 140 darmo i opłacony. Specyalne ceny dla kupców.
Specyalny Dom przemysłu rowerowego
G. Wondrak
Wiedeń, III. Hauptstrasse 144.

Kupuję i sprzedaję
złoto, srebro, brylanty
płacąc najwyższą cenę. Zakład zegarmistrzowski i jubilerski
Józef Cyankiewicz, Kraków, Sławkowska 24, dom XX. Emerytów

Potrzebny zaraz trawiacz do Nowości Illustrowanych.

Założony w roku 1900! **Po drodze do Zakopanego** Założony w roku 1900!
lub wracając, najlepiej zaopatrzeć się można w wszelkie **ubiory męskie**
wykonywane na specyalne zamówienia podług miary
W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW
W KRAKOWIE, Floryańska 7. — **WE LWOWIE, Plac Halicki 7.**
Doborowe materyały na składzie w wielkim wyborze.
Suknie dla Przewielebnego Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. (Na zapas do składu wyrabiane są ubrania gotowe o ile na to obecne stosunki wojenne zezwalają).

Jedyny w Stanisławowie który posiada własny wyrób trumien — **Zakład pogrzebowy „Concordia" FELIKSA ANTONIEGO MAYERA**
Stanisławów, ulica Sapieżyńska L. 65 (dom własny). — Telefon Nr. 79.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.